

ERNEST ADAM

WIELKI CICHY PRACOWNIK NARODOWY

NAPISAZ

JAN ZAMORSKI

NAKŁADEM
WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO POLSKICH TOWARZYSTW OŚWIATOWYCH
WARSZAWA
1927

Dubl

174

1619

THE UNIVERSITY OF DUBLIN

LIBRARY

174

174

174

ERNEST ADAM

WIELKI CICHY PRACOWNIK NARODOWY

NAPISAŁ

JAN ZAMORSKI

NAKŁADEM

WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO POLSKICH TOWARZYSTW OŚWIATOWYCH

WARSZAWA

1927



Druk. Fr. Orzechowski, Warszawa, Krak.-Przedm. 38.

454 567

11. 1250/75

I.

Ostatnie dziesięciolecie niewoli wydały w Polsce obok wielu typów głośnych, hałaśliwych, dumnych, cynicznych, nieprzejednanych, kompromisowych, pięknych i brzydkich, także jeden osobliwy, mało uznany i szybko zapominany typ cichego pracownika narodowego. W dzisiejszych czasach hałaśliwej i przeważnie nieuczciwej reklamy, typy takie przechodzą niezauważone, a gdy nie robią karierę błyskotliwej, to nieraz i lekceważone, z dziedziny życia do zapomnienia. Dziś bowiem, wskutek rozluźnienia powojennego, jedno powodzenie, jedna karjera daje człowiekowi patent na krótkotrwałą sławę i na uznanie. Reklamuje się nie wyniki pracy, pożyteczne dla całości, dla ogółu, lecz sukcesy osobiste, przy których łowcy karier mogą także uszczknąć coś dla siebie. Zasluga istotna raczej przeszkadza niż pomaga karierze, a zasługa bezinteresowna, praca dla dobra powszechnego z wyłączeniem samego siebie, wzbudza tylko politowanie, o ile wogóle bywa przyjmowana do wiadomości, albo brana pod uwagę.

A przecież praca cichych pracowników, która z ludzi, mówiących po polsku dlatego tylko, że inaczej mówić nie umieli, czyniła uświadomionych Polaków, gotowych do trudu, walki i ofiar na rzecz Polski — która w okolicach mieszanych językowo budziła i utrzymywała poczucie narodowe, ta praca głównie, jeżeli nie jedynie, przyczyniła się do odbudowania Polski niepodległej i do zakreszenia jej wcale obszernych granic. Bez tej pracy Śląsk, tak austrijacki, jak pruski, Pomorze, Ziemia Wileńska, była Galicja wschodnia

byłyby dawno przestały być polskimi, a nasze roszczenia do tych ziem uzasadnionemi; na terytorjum zaś etnograficznym opór przeciw zaborcom byłby albo ustał, albo przyjął formy nie polskie, kto wie, czy nawet nie wrogie polszczyźnie.

To też ci, którzy korzystają dzisiaj z wolności Polski i ciągną z niej korzyści, powinni w chwilach wytchnienia pomyśleć z wdzięcznością o dorobku owych cichych pracowników, z którego teraz oni ciągną zyski — a ci, którzy wobec bezceremonjalności ludzi, co się władzy dorwali, patrzą z trwogą w przyszłość, powinni wnikać głębiej w ową niedawna, pożyteczną choć cicha pracę, bo gdy swywola zapustna wolności zacznie grozić katastrofą, przyjdzie niechybnie potrzeba obudzenia tego ducha, który podczas niewoli utrzymywał i mnożył świadomość, zapładniał umysły zapalem i czynił serca zdolnemi do pracy, trudu i poświęcenia. Gdy się wszystko chwiać zacznie, trzeba będzie znowu zaapelować do ofiary i zapukać do najszlachetniejszych instynktów Polaka.

Jednym z najdoskonalszych wzorów takiego cichego pracownika w byłym zaborze austriackim był śp. Dr. Ernest Adam, ostatnio prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej i senator Rzeczypospolitej Polskiej. Urodzony w roku 1868 w Lwowie, z ojca kupca, ukończył w rodzinnem mieście wszystkie szkoły i zyskał tam stopień naukowy doktora praw.

Czasy gimnazjalne, a zwłaszcza uniwersyteckie młodego Ernesta zaznaczyły się przełomem w pragnieniach, a potem w pojęciach i przekonaniach narodu. Tego przełomu wyrazem i współtwórcą pojęć był właśnie nieboszczyk.

Nieudane powstanie w roku 1863 przyniosło jako reakcję pozytywizm w byłym zaborze rosyjskim i t. zw. szkołę krakowską w byłym zaborze austriackim. Oba te zresztą dość niezgodne kierunki, wychodziły z założenia, że wszelkie czynne dążenie do niepodległości, jest zgubnym romantyzmem i marzycielstwem, które przynosi tylko straty i że jedyną dźwignią życia polskiego może być tylko pozytywna praca, wolna od złudnych mrzonek i patriotycznych frazesów. Ponieważ jednak w obu zaborach panowały odmienne warunki, założenie to przybrało odmienne kształty w wykonaniu.

W byłym zaborze rosyjskim rzucono się do przemysłu i robienia majątku — w austryjackim do polityki. Sprzyjało temu kierunkowi definitywne wprowadzenie konstytucji w Austrii w roku 1867 i ugoda Polaków z dynastją Habsburską. Za cenę lojalności wobec cesarza i wierności wobec państwa Polacy uzyskali wprowadzenie polszczyzny do szkół, sądów i urzędów oraz autonomję kraju z własnem szkolnictwem powszechnem. Ugoda ta została zawarta między dynastją, a szlachtą galicyjską, to też szlachta zastrzegła dla siebie rządy w Galicji, aby móżdź przyjąć odpowiedzialność za dopełnienie ugody.

W ten sposób powstało stronnictwo konserwatywne krakowskie, zwane stańczykowskiem od zasadniczej publikacji, w której zawarty został jego program „Teki Stańczyka”. Miało ono w swoich rękach całą administrację polityczną, szkolną, sądową, duchowną i wszystkie władze policyjne.

Z biegiem lat, gdy ustaliły się stosunki, a umysły naginały się coraz więcej w nowym popowstańczym kierunku, pozytywizm wyrodniał i przemieniał się w coraz przyziemniejszy materializm i zażydzenie umysłowości, a szkoła krakowska przybierała coraz więcej cechy austryjaków języka polskiego i wsteczników, gnębiących wszelki objaw myśli niezależnej, utrzymujących się przy władzy przez gwałt moralny i materialny, oraz przez korupcję.

Pokolenie, urodzone w okresie powstania styczniowego i zaraz po niem, zaczęło się dusić w tej zatęchłej atmosferze i pragnąć światła, słońca i ideału.

Wyrazem tych pragnień stał się Sienkiewicz przez przypomnienie dni potęgi i chwały narodu „dla pokrzepienia serc”. Do dziś za mało zwraca się uwagi na nastrój dusz, który u Sienkiewicza wywołał trylogję i na ogromny, przewrotowy wpływ tej trylogji na dusze młodszego pokolenia. Sienkiewicz odrodził uczucie narodowe w Polsce i nawiązał stosunek dusz do całej, dawnej przeszłości.

A zrobił to wtedy, kiedy idea narodowa święciła tryumfy w Europie, kiedy Bismarck „ogniem i żelazem” stworzył jedność niemiecką, a król Wiktor Emanuel „przez wolę narodu” dokonał zjednoczenia Włoch. Oba te epokowe zdarzenia

pochodzą z roku 1870 i 1871, to jest z czasu, kiedy warszawski materializm i krakowskie karierowiczowstwo panowały jeszcze niepodzielnie nad oświeconą warstwą narodu polskiego. Te dwa zdarzenia były pierwszym bodźcem, który dla młodzieży czynił ówczesną atmosferę nieznośną i budził w niej pragnienie czegoś lepszego: piękna i ideału.

Sienkiewicz dał pokarm uczuciu narodowemu i przeobrażał serca. Na jego lekturze wychowana młodzież zaczęła kształtować myśli wedle przeobrażonego uczucia, aby z tych myśli wysnuć kierunek postępowania.

To też młody Adam na uniwersytecie założył tajne, zrzeszenie młodzieży, narodowo czującej. Obudzenie ducha narodowego, który chciał zaznaczyć się w działaniu, skierowało tę młodzież do urządzania obchodów i uroczystości narodowych na prowincji.

Trudno dziś wyobrazić sobie ciasnotę widnokręgów i małostkowość życia po średnich i małych miastach Galicji ówczesnej. Nieliczna garstka inteligencji: sędziowie, profesoremie, i t. p. chodziła w majestacie niedostępnym dla nikogo, traktując każdego, kto nie miał rangi, jak ekonom traktował pańszczyźnianego poddanego. Były wprawdzie już dość liczne gniazda sokole, ale urzędnik ze złotym kołnierzem (to jest od VIII rangi w górę) nie mógł do nich należeć bez uchybienia własnej godności, a nawet bez narażenia się na zarzut „czerwoności“, który łamał karierę.

Sokoły więc — a początek ich sięga jeszcze powstania styczniowego, a raczej jego końca, były stowarzyszeniem niższych urzędników, nauczycieli ludowych, pisarzy dziennych, zwanych djetarjuszami, oraz bardzo wybieranych, nielicznych mieszczan, a duszą ich bywał zazwyczaj jakiś nieprzejednany powstaniec, który zajmował posadę w autonomji miejskiej lub powiatowej. Między funkcjonarjuszami państwowymi różnica rang nie pozwalała na zbliżenie się. Jedyne kasyna, dostępne tylko dla mężczyzn, gromadziły inteligentów na czytanie gazet, grę w karty i zabijanie nudnych wieczorów także przez pijatykę.

Mieszczañstwo miało już swoje „Gwiazdy“, wzorowane na założonem we Lwowie przez księdza Stanisława Sto-

jałowskiego w roku 1878 podobnem stowarzyszeniu, ale tam nie zaglądał żaden inteligent z uniwersyteckiem wykształceniem, aby nie ubliżyć swemu dostojeństwu i nie wzbudzić podejrzenia.

Życie umysłowe, kulturalne, zbiorowe nie istniało.

Gdy więc garść akademików miejscowych przystępowała do jakiegos obchodu narodowego było to zdarzenie i przelomowe i wstrząsające: wstrząsało martwotą, aby z niej wyrzesać jakiegokolwiek oznaki życia. Uroczystości takie, zresztą rzadkie w jednym miejscu, udawały się tylko dlatego, że były urządzone przez młodzież, na którą patrzy się z pobłażaniem i życzliwością, jako że musi się młodość wyszumieć. Nawet złotokolnierzowcy zaszczycali te widowiska, zwłaszcza, że między aranżerami mieli synów i krewniaków. Za urzędnikami zajmowali miejsce mieszczanie, kupcy, rzemieślnicy, a resztę wypełniała młodzież szkolna. Były to pierwsze zetknięcia się ludzi różnych zawodów, rang, stopni, wykształcenia, na jednym miejscu, dla wysłuchania tychsamych patriotycznych słów ze sceny. Doniosłość takich obchodów można ocenić należycie tylko wtedy, gdy się wmyśli i wczuje w ówczesną niepokieszoną atmosferę sobkostwa, różniczkowania społecznego i bezmyślności.

Młodzież akademicka ze związków Adama wchodziła w styczność z młodzieżą szkół średnich po miastach prowincjonalnych. Powstawały poufne kółka idealistów, kształcących się w historii i literaturze polskiej, przygotowujących siebie na uświadomionych pracowników i wzorowych obywateli narodu.

Robiło się to cicho, poufnie, tajnie. W kierownaniu tym ruchem zaznaczył się ten rys Adama, który odtąd będzie najcharakterystyczniejszym rysem jego osoby: cichość. Nie dla spisku, nie dla tajemniczości, ale z instyktownej niechęci do rozgłosu, krzykliwego uznania, urządzał te sprawy tak, aby swoją osobę usuwać w cień, aby rosła sprawa, a nie osoba. To też związek akademików z gimnazystami miał charakter raczej inicjatywy starszego kolegi, niż hierarchicznej organizacji z kierowniczą wielkością na czele. I przez to nabierał charakteru bardzo ścisłego sprzysiężenia.

Pokazalo się to później w Tarnopolu, gdzie przez nadużycie sprowadzi trafiono na ten spiszek i urządzono z niego wielki proces polityczny o „zdradę stanu“ z więzieniem prewencyjnym, rozprawą publiczną i t. d. Młody adwokat lwowski D-r. Władysław Dulęba zdobył sobie od razu sławę przez bezinteresowną obronę tych tarnopolskich „omladinistów“ i przez uzyskanie dla nich unienwinnienia sądowego w roku 1896. Ale wszyscy ci młodzieńcy, którzy przebyli ten proces, stali się potem ideowymi, pełnymi poświęcenia pracownikami narodowymi na wszystkich polach i mimo złej czy dobrej doli nie sprzeniewierzyli się nigdy świętemu sztandarowi. Można ich spotkać dziś w całej Polsce na podrzędnych stanowiskach urzędowych, ale na naczelnych placówkach pracy narodowej, społecznej, kulturalnej. Taką była szkoła młodego Adama.

Szczyt jego młodzieńczej działalności przypada na lata 1889 i 1890, kiedy był prezesem Czytelni akademickiej we Lwowie. Wtedy to nadał temu stowarzyszeniu, a przez nie całej polskiej młodzieży akademickiej we Lwowie ten patriotyczny kierunek, z jakiego młodzież lwowska słynęła do ostatnich czasów. Młodzieńcy ci podtrzymywali ducha we Lwowie, czuwali nad polskością uniwersytetu i miasta, a podczas świąt i ferji rozjeżdżali się po prowincji, budzili młodzież szkół średnich i całe społeczeństwo, próbowali wchodzić w styczność z młodzieżą miast i wsi. Wielu wybitnych później chłopów zawdzięcza tym akademikom rozszerzenie horyzontów, kierunek samokształcenia i wyrobienie obywatelskie.

Na młodzież lwowską nadzwyczajnie wpłynął fakt, że przy sprowadzeniu zwłok Mickiewicza na Wawel w roku 1890 nie dopuszczono jej prezesa Adama do wygłoszenia mowy jej imieniem. Cała ta zresztą olbrzymia manifestacja narodowa, była dziwacznym objawem ówczesnych prądów u góry. Rząd austriacki zezwolił i na sprowadzenie zwłok z Francji i na złożenie ich w katedrze wawelskiej — ale galicyjskie władze tak się bały, ażeby w tej polskiej manifestacji nie zaszło nic takiego, co mogłoby mieć pozór antyaustriacki, że prezesowi Czytelni Akademickiej ze Lwowa Adamowi nie pozwolono przemawiać, a akademika krakowskiego Władzi-

mierza Lewickiego, który przemawiał imieniem całej młodzieży, relegowano z uniwersytetu za to, że wygłosił mowę nieco odstępującą od tekstu, cenzurowanego przez senat akademicki.

Odtąd młodzież lwowska, a później i cała Polonia Galicji Wschodniej urzędowała się tak, jak gdyby ten kraj nie był częścią Austrii, lecz prowincją nieistniejącego jeszcze państwa polskiego:

* * *

II.

Po ukończeniu Uniwersytetu Dr. Adam przeniósł się do Krakowa jako współpracownik „Nowej Reformy“, założonej i prowadzonej przez poetę-powstańca Adama Asnyka. Był to organ demokracji polskiej, przeciwstawiający się konserwatywnemu „Czasowi“ w imię nieprzedawnionych praw narodu do wolności.

Ruch demokratyczny poza Lwowem i Krakowem, był w miastach galicyjskich bardzo słaby, przeważnie reprezentowany przez jednostki i to po większej części przez powstańców, którzy uciekli z Kongresówki i znaleźli kawałek chleba w autonomji krajowej, powiatowej i miejskiej.

Słabość tego ruchu miała swoją przyczynę w tem, że stańczycy dzierżyli niepodzielnie władzę w swoich rękach. Oni mianowali całą administrację polityczną, sądową, szkolną, kościelną, oni też, wyzyskując kurjalną ordynację wyborczą, przy pomocy gwałtów i przekupstw, zapewniali sobie przygniatającą większość w Sejmie galicyjskim i w Kole Polskiem parlamentu wiedeńskiego. Tylko samorząd dwóch stolic oraz 30 miast większych dawał możność wybicia się siłom demokratycznym, o ile takie na miejscu się znalazły.

Demokraci przynosili z sobą dwa grzechy pierworodne: doktrynerstwo powstaniowe i inteligencką niechęć oraz niezajomość tłumów. Doktrynerstwo polegało na wierze, iż hasła same wystarczą, tak jak Rządowi Narodowemu niegdyś wydawało się, że sam manifest o uwłaszczeniu przetrzuci wszystkich chłopców w szeregi powstańcze. Walczono więc słownie o hasła, pożyczone z Paryża, Wersalu, czy z manifestów Rządu Narodowego i popadano we frazesy. Bywały te frazesy niejednokrotnie tak puste, nieoparte na życiu, że pe-

wien odłam lwowskich demokratów nazywano tromtadratami. Zostawał więc demokratą ten, kto albo nie miał tytułów szlacheckich, a nie chciał jako intruz pchać się w nieswoje towarzystwo, albo też nie potrzebował, nie chciał, lub nie mógł szukać u stańczyków kariery i przed nią płaszczyć się.

Ale będąc demokratami wobec stańczyków, bywali ci inteligentcy demokraci nieraz wielkimi arystokratami wobec mieszczaństwa i chłopstwa, którego nie znali, nie rozumieli, a którymi nawet nieraz się brzydzili. Nie umieli więc wytworzyć z ludu siły i tą siłą przeciwstawić się stańczykom. To też nawet po miastach nie zrobili nic dla zorganizowania i podniesienia rzemiosł, handlu, całego mieszczaństwa ani pod względem zawodowym, ani kulturalnym. Byli raczej intelektualistami niż demokratami.

Dr. Adam zaczął w „Nowej Reformie“ uczyć czynnej demokracji. Poruszał zagadnienia gospodarcze, kredytowe, rzemieślnicze, handlowe, a przede wszystkim oświatowe.

Oświaty potrzebował kraj bardzo. Nędza była wielka prawie połowa mieszkańców nie umiała czytać i pisać. Mimo że konstytucja obowiązywała już od 20 lat z górą, olbrzymia większość mieszkańców nie rozumiała swoich praw ani obowiązków obywatelskich.

Nie brakło usiłowań oświatowych. Idealiści wydawali dla ludu tygodniki, ale nie rozumiejąc go, pisali ekliwie, nudnie, osobnym stylem dla chłopca takiego, jakim go sobie wyobrażali, ale nie dla takiego, jakim on był w rzeczywistości. O drobnem mieszczaństwie i o robotnikach po prostu nie wiedzano.

Wyłom w tym kierunku zrobił ks. Stanisław Stojalowski, który w roku 1875 zaczął wydawać pierwsze tygodniki polityczne dla ludu „Wieniec“ i „Pszczółka“, pisane zwykłym, nie sztucznym językiem, oraz urządzać wiece i zjazdy. Oparł się na uczucie religijnem, aby obudzić i uświadomić uczucie narodowe w chłopach, drobnomieszczanach i robotnikach. Chciał ten lud, w większości cesarski i w dużej mierze antypolski, wychować na pełnego świadomości obywatela polskiego. On pierwszy zaczął też organizować lud towarzysko i gospodarczo. „Gwiazda“ lwowska dała początek innym „Gwiazdom“ po miastach, w których

zresztą organizował spółki rzemieślnicze. Dla robotników organizował „Bratnie Pomocę“, oraz spółki zarobkowe, a dla chłopów „Kółka Rolnicze“, w których przewidywał sklepy, biblioteki i kasy pożyczkowe. Gdyby demokraci chcieli wówczas współdziałać z ks. Stojałowskim, byłiby stworzyli potęgę polityczną, podnieśli lud gospodarczo i oświatowo, oraz uprzętnęli przemoc konserwatywną.

Na to byli zbyt wielkimi doktrynerami. Demokratyzm polegał podówczas na obojętności religijnej i zwalczaniu klerykalizmu w myśl hasła Gambetty: „Le cléricisme voilà l'ennemi“ (klerykalizm to wróg). Żaden szanujący się demokrat nie mógł więc kompromitować się współpracą z „księdzem“. I to z księdzem, który urządzał pielgrzymkę chłopską do Rzymu w 1877 na 50 letni jubileusz Piusa IX, potem pielgrzymkę do Jerozolimy z zawieszeniem wotywniej lampy w kościele Grobu Chrystusowego i t. d.

Kiedy ks. Stojałowski zwołał 12 tysięcy chłopów do Krakowa na dwóchsetną rocznicę Sobieskiego w 1883 r., to chłopów do miasta nie wpuszczono, a demokratyczne gazety nie miały słów potępienia za to „rozwlóczenie“ chłopów i naklanianie ich do straty pieniężnej; a za sprowadzenie kilku tysięcy chłopów na pogrzeb Mickiewicza w 1890 r., ks. Stojałowski został aresztowany i oplugawiony we wszystkich pismach codziennych i humorystycznych, z demokratycznymi na czele.

To też na dzikie, tępe, nieludzkie prześladowanie ks. Stojałowskiego przez rządy stańczykowskie z konfiskowaniem jego pism połączone, kilkunastoma uwięzzeniami na dłuższy czas, z odebraniem probostwa, wtrąceniem go w długi, aby go zasądzić za niewypłacalność, wreszcie z kłatwą biskupią w 1896 r. i t. d., ani demokraci, ani ich pisma nie znajdowały słów potępienia, bodajdy ze względów taktyki polityczno-partyjnej.

Ruch ludowy odbywał się poza demokratami, a gdy ks. Stojałowskiego zrujnowano i robotę jego złamano, robotnikami zajęli się socjaliści, chłopami Stapiński, mieszczan zaś zostawiono na pastwę żydom lub ich demokratycznym poplecznikom, zabijając na długi czas ruch narodowy wśród ludu. Niechęć do księdza i do religijności, mieszanej z kle-

rykalizmem czyniła demokratom zżydziałych lub międzynarodowych klasowców bliższymi od religijnie narodowego demokraty ks. Stojałowskiego.

Dr. Adam, jako młody współpracownik demokratycznego dziennika, nie mógł skutecznie wpłynąć na zmianę kierunku, zwłaszcza, że po to należałoby ludzi zmienić. Uczył tam wykonywania demokracji, ale bez wielkiego skutku. To jedno zdaje się być jego zasługą, że „Nowa Reforma“ za czasu jego współpracownictwa uchylała się od bezwzględnej nagonki na całą działalność ks. Stojałowskiego.

I wtedy pewnie zaczęły się w nim krystalizować nowe metody działania, zastosowane do realnych warunków. Polityki partyjno-polemicznej nie znosił nigdy, bo chciał działać, tworzyć, a nie klócić się. Ażeby działać, trzeba miejską inteligencję wciągnąć do pracy nad ludem i z ludem, to jest posłać ją do warsztatu, fabryki, na wieś. O wysłaniu jej do roboty politycznej w owej chwili, gdzie mądry i zdrowy kierunek był tylko u ks. Stojałowskiego, do którego inteligenci zaczęli mieć nawet obrzydzenie, nie można było marzyć.

Trzeba było znaleźć sposób na wyzyskanie tak doktrynerstwa, jak nalogu do dźwięcznych frazesów. Trzeba więc było wysłać tych ludzi i ich synów z oświatą i uświadamianiem narodowym. Chłopów rozbitych na stojałowczyków, stapińczyków, potoczkwców, centrowców i t. p.: mieszczan, podgryzanych przez propagandę żydowską i socjalistyczną: robotników, podzielonych między socjalistów i chrześcijańsko-społecznych z przeważającym wpływem niemieckich, chrześcijańskich i żydowskich centrali, można było nawracać do jedności tylko przez oświatę narodową, wolną od zabarwienia partyjnego i karjerowiczowskiego.

Próby w tym kierunku były już robione. Od roku 1886 istniało towarzystwo „Oświaty Ludowej“, kupujące ze składek biblioteczki i rozsyłające je po wsiach, przeważnie do nauczycieli i organistów. Jednakże opieki i kontroli nad temi czytelniami nie wykonywano i biblioteczki owe przepadały.

Dr. Adam namawiał swoich kolegów z redakcji, oraz innych przyjaciół krakowskich do założenia towarzystwa

obejmującego całokształt spraw oświatowych, na wzór czeskiej Matice Szkolskiej, albo niemieckiego Schulvereinu. Opracował nawet odpowiedni statut.

Jakoż w roku 1891, na zjeździe z okazji stoletniej rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja, udało mu się pozyskać zgodę znacznej liczby członków i wtedy zawiązano „Towarzystwo Szkoły Ludowej“, którego prezesem został żołnierz poeta Adam Asnyk, a sekretarzem właśnie Dr. Ernest Adam. Odtąd nazwisko Adama jest ściśle związane z tem towarzystwem, w którym pełnił funkcję naprzód sekretarza, potem skarbnika, prezesa kola im. Jeża, prezesa Związku okręgowego we Lwowie, od 1905, wiceprezesa, a od 1921 r. prezesa Zarządu Głównego T. S. L.

W 1896 roku wrócił do Lwowa na stanowisko wicesekretarza Izby Handlowo-Przemysłowej i pozostał we Lwowie do końca życia.

* * *

III.

Nazwisko Dr. Adama tak się zrosło z Towarzystwem Szkoły Ludowej, że może być wzięte za symbol, za wcielenie tego towarzystwa.

Dwie były główne przyczyny olbrzymiego rozwoju stowarzyszenia, tudzież podziwiania godnych wyników jego pracy, znacznie większych niż środki, na których się opierała: 1) wszechstronność ujęcia oświaty narodowej, 2) decentralizacja organizacji, sprzyjająca rozwijaniu się inicjatywy.

Adamowi przyświecała myśl przedewszystkiem budowania szkół polskich tam, gdzie nie dochodziła władza polska, lub była zbyt krępowana czy to przez ustawy, czy przez względy polityczne: a więc w innych krajach koronnych Austrii, tudzież na kresach galicyjskich. Pierwszy krok sekretarza nowozałożonego towarzystwa wskazuje szerokość jego widnokręgów: w jednym tygodniu założył dwa koła towarzystwa, jedno w Wadowicach z obowiązkiem oświecania Polaków pod panowaniem Niemców w Białej i w Bielsku; drugie w Czerniowcach, stolicy rumuńsko-ruskiego kraju koronnego Bukowiny, mającej Uniwersytet niemiecki. Koła T.S.L. mnożyły się po miastach, na początku większych z licznymi grupami inteligencji. Jak wszelka nowość szło to z trudnością, już to dla tego, że funkcjonariusze państwowi, szukający zawsze wiatru z góry, bali się, żeby to polskie przedsięwzięcie nie było źle widziane przez władze wiedeńskie, a zatem potępiane przez władze krajowe, już też wogóle wskutek niechęci do wszelkich nowinek. Do tego przychodziły względy na politykę partyjną: pytano, śledzono, domyślano się, jaka też z licznych i skłóconych partyj kryje się pod nowym szyldem. Trzeba było niebywałego taktu, wyrozu-

mialości i czujności ze strony młodego sekretarza, ażeby ludzi o bezpartyjności oświaty narodowej przekonać i utrzymania tej nadpartyjności dopilnować. W miarę rozrostu towarzystwa i rozszerzania się jego wpływu na lud rozpoczęły się walki wewnętrzne, zwłaszcza przy wyborach do Zarządu Głównego, w celu opanowania towarzystwa przez partje i wyzyskania jego siły i wpływów dla celów polityczno-partyjnych. I tu znowu takt Adama, jego wyrozumiałość i cierpliwość, a zarazem i osobista niechęć do wszystkich sporów partyjnopolitycznych, święciły tryumfy i nie dopuszczały do tego, żeby towarzystwo poszło na służbę jakiegokolwiek partji. Temu nadpartyjnemu stanowisku Zarządu Głównego zawdzięcza towarzystwo swój zdumiewający rozwój, oraz powszechne zaufanie całego narodu. Zdobywało je z trudem, utrzymywało z poświęceniem, dzięki przedewszystkiem Adamowi.

Nowo powstające Koła, o ile nie miały inicjatywy, odsyłały swoje składki Zarządowi Głównemu w Krakowie. Wkładki były niewielkie po dwie korony rocznie od członka, ponieważ Adam marzył o wciągnięciu wszystkich, nawet najuboższych Polaków do towarzystwa, tak aby cyfra członków doszła do miljona.

Samodzielną robotę zaczynały koła od otwierania zimowych kursów dla dorosłych analfabetów. Koła Galicji Wschodniej zakładały prócz tego po wsiach czytelnie dla mniejszości polskich, kontrolowały je i odwiedzały, przysyłały prelegentów z wykładami oświatowymi i narodowymi.

Zarząd Główny zaś zwrócił przedewszystkiem uwagę na wynaradawianych Polaków na Bukowinie i w zagłębiu bialsko-bielskim. W Czerniowcach, dzięki ruchliwości Dra. Stanisława Kwiatkowskiego (umarł jako senator rumuński) założono Czytelnię Polską, zbudowano okazały gmach i utrzymywano przy pomocy Zarządu Głównego polską szkołę ludową i wydziałową. Później założono i Sokola. Czerniowieckie Koło następnie zaopiekowało się nielicznymi Polakami na Bukowinie (Pojana Mikuli, Sołonec, Plojeszti i t. d. i t. d.) przy pomocy instruktora, opłacanego przez Zarząd Główny.

Wiele trudu, kosztów i wytrzymałości kosztowało podniesienie polszczyzny w Białej. Jest to niewielkie miasto fa-



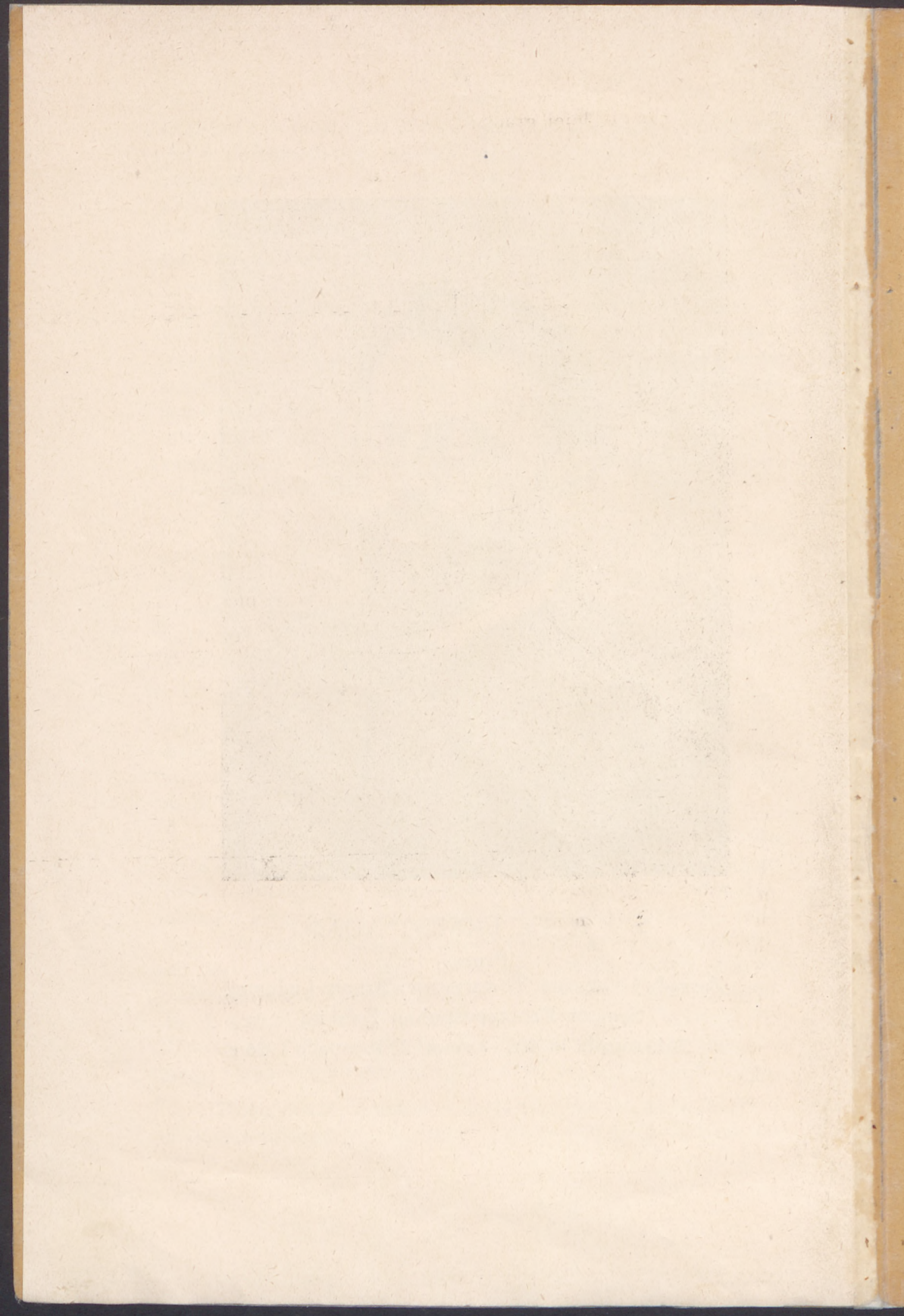
Ś. † P. Dr. ERNEST ADAM

Prezes

Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej,

Senator Rzeczypospolitej Polskiej

ur. 29 listopada 1868 r. — zmarł 22 listopada 1926 r.



bryczne na zachodniej granicy Galicji, przy końcu XIX wieku całkiem zniemczone, otoczone z trzech stron przez olbrzymią wieś Lipnik, przeważnie niemiecką, a z czwartej łączące się z Bielskiem na Śląsku, z Bielskiem, który dumnie nazywał siebie Klein Berlin, i razem ze zniemczonemi wsiami: Stare Bielsko, Komorowice (Batzdorf), Aleksandrowice (Alexanderfeld), Kamienica (Kamitz), Olszanica (Ohlan), i t. d. stanowiły potężną wyspę niemiecką na pograniczu Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Wreszcie założono prywatną polską szkołę ludową T.S.L. w Białej i z wielkim wysiłkiem zbudowano dla niej gmach okazały, aby się nie wstydzić przed Niemcami. Był to pierwszy wylom w twierdzy niemieckiej. Za nim poszło prywatne seminarjum polskie T.S.L., potem gimnazjum, niższa i średnia szkoła żeńska i t. d. Powoli zaopatrywano te szkoły w okazałe gmachy, które są ozdobą miasta i musiały nawet bogatym Niemcom imponować.

Latwo spisać ten dorobek, ale niezmiernie trudno było do niego dochodzić i to z dwóch przyczyn: trudności, stawianych przez rząd i władze, oraz dla braku pieniędzy. Ażeby przypomnieć zachowanie się rządu wobec T.S.L. chcącego z polszczyzną wejść do Białej, warto przytoczyć fakt, iż rząd wiedeński, aby uczynić istnienie seminarjum nauczycielskiego w Białej bezprzedmiotowym, założył w sąsiednim polskim miasteczku Kęty rządowe seminarjum nauczycielskie polskie. Byłoby polszczyzny do Białej nie wpuścić.

Pieniądzy brakowało zawsze. Zarząd Główny utrzymywał te instytucje z niskich wkładek członkowskich, oraz z darów, które wpływały słabo i z przedsiębiorstw własnych. Najtrudniejszą, niewdzięczną, nie dającą rozgłosu pracą, była praca skarbnika, który musiał opłacać czynsze, pensje nauczycielskie, oraz należności za grunta, materiały, robociznę, wypłaty przedsiębiorcom i t. d. Gdy się zważy, jak szczupłe dochody miał Zarząd Główny, należy uznać trud skarbnika za nadludzki wprost wysiłek. I tego wysiłku podjął się właśnie Dr. Adam, kiedy, przesiedliwszy się z Krakowa do Lwowa, rzekł się godności sokretarza, a przyjął urząd skarbnika. Inni, przy rozwoju towarzystwa, zbierali uznanie, pochwały, tryumfy przy poświęcaniu okazałych gmachów—gdy on wziął na siebie najtrudniejszą, najżmudniejszą, żadnej



osobistej słabości nie zadawalniająca pracę szukania pieniędzy i dostarczania ich wszędzie na czas.

Towarzystwo Szkoły Ludowej wytworzyło fanatyków pracy oświatowej między swoimi członkami. Ci zapaleńcy przeczuwali tylko owe niewypowiedziane kłopoty, troski, zabiegi skarbnika, ale ich nie widzieli, bo Adam nigdy o nich nie mówił. Otaczali go więc miłością i zaufaniem, a wielu wierzyło, że ma on tylko szczęśliwą rękę, której z kamienia rodzą się pieniądze. Nie przeczuwali nawet ogromu niewdzięcznej troski, która się nigdy nie kończyła, bo co miesiąca trzeba było wypłacać pensję nauczycielom, bo składki nie wpływały wtedy, kiedy trzeba było wypłacać większe należności za gmachy szkolne, bo zresztą w miarę pracy rozszerzał się ciągle jej zakres.

Po wejściu do Białej musiano zająć się losem polskich robotników w zagłębiu Ostrawskim, które Niemcy nazywali grobem Polaków nad Ostrawicą (das Polengrab an der Ostrawitz), tak gwałtownie czeszczono tam pozbawionych wszelkiej opieki robotników polskich. A więc znowu zakładanie szkół polskich, potem budowanie gmachów w Morawskiej Ostrawie, w Marjańskich Górach, w Przywozie i t. d. na Morawach.

Między Galicją a Morawami leży Śląsk Cieszyński, gdzie od dawniejszych czasów istniała Macierz Szkolna dla księstwa Cieszyńskiego (o Opawskim niestety zapomniano) Macierz ta w roku 1895 przystąpiła do założenia polskiego gimnazjum w Cieszynie i tak się w niepomierne koszty zaangażowała, że jej świątly prezes ks. Józef Londzin mógł zerwać z separatyzmem krajowym swoich poprzedników i porozumieć się z galicyjskiem T. S. L. dla wspólnej roboty. Było to nowe obciążenie zobowiązaniami, ale otwierało nowe źródła dochodów. Śląskiem bowiem interesowała się Kongresówka, zwłaszcza Warszawa, która nie była skłonna do ofiar dla Galicji. Doprowadzono więc prywatnemi środkami gimnazjum cieszyńskie do matury, a po jego upaństwowieniu zabrano się wspólnemi siłami do tworzenia szkół polskich w zagłębiu Karwińskim. Gimnazjum w Orłowej, Szkoła Górnicza w Dąbrowie i t. p. są dorobkiem tej współpracy.

Aby pozostać poza granicami Galicji, trzeba wspomnieć szkołę polską i dom polski w Wiedniu, oraz szkoły ludowe i czytelnie w Bośni dla kolonji polskiej, złożonej z 19 wsi, a potem i opiekę prawną dla osadników, którzy nie mieli jeszcze przewłaszczenia i mieszkali jako kmetowie na ziemi, należącej do tamtejszych agów.

Nawet kolonja polska w Budapeszcie korzystała z pomocy T.S.L., a Adam robił wysiłki, aby skuteczniej nawiązać stosunki oświatowe z Polakami w Brazylii.

Jest to wynik pracy tem większy, że towarzystwo opierało się na ubogich inteligentach i ich ośmieszanych, a przecież tak skutecznych „centusiowych“ ofiarach.

Jako skarbnik, Adam poza szukaniem darów i subwencji wymyślał rozmaite uboczne dochody: a więc centowe nalepki na listy, widokówki i telegramy T.S.L., zamianę iluminacji świetlnej w święta narodowe, na nalepki droższe, naklejane na szybach. Są to rzeczy dziś znane i oklepane, ale trzeba było dobrze nałożyć głowę podówczas, ażeby je wymyślić i potem przeprowadzić. Jednym z najwydatniejszych pomysłów jego było ogłoszenie trzeciego maja za święto T.S.L. i zbieranie t.zw. „Daru Narodowego“ na Towarzystwo co roku w tym okresie.

Prace nad zakładaniem szkół, domów narodowych, czytelni i t. d. poza Galicją należały wyłącznie do Zarządu Głównego T.S.L., a że streszczały się w zapewnieniu Zarządowi potrzebnych sum, były głównie ciężarem i owocem pracy skarbnika Adama.

Ale w Galicji nie próżnowano również. Tutaj inicjatywa kół miejscowych święciła tryumfy. Zarząd Główny wital i popierał każdą pożyteczną inicjatywę, mimo, że wzmożona praca w pewnym kole umniejszała dochody Zarządu Głównego, a bardzo często obciążała jego budżet. Czynne koła starały się uwolnić od świadczeń na rzecz Zarządu Głównego, bo wszystkie dochody ze swego terytorjum spotrzebowywały na miejscu i domagały się jeszcze zasilków. Trzeba było szerokiego umysłu, dobrego serca, rozumu i taktu Adama, ażeby te sprzeczności wyrównywać i obracać wszystko na pożytek całości.

Galicja wschodnia wzięła największy rozmach, a Lwów przodował. Skarbnik Zarządu Głównego Dr. Adam, zostawszy prezesem jednego z Kół lwowskich imienia Jeża, przystąpił do budowy szkoły polskiej w Konopnicy, która została oddana do użytku publicznego w roku 1903. Dla pomnożenia dochodów tego koła obmyślił znowuż inny sposób. Ubrał w granatową czamają i rogatywkę weterana z powstania, dał mu w rękę puszkę na ofiary i codziennie wysyłał go po restauracjach, szynkach, wszędzie, gdzie się zbierają ludzie, z wezwaniem: „Grosz na Towarzystwo Szkoły Ludowej“. Takiego kursora zaprowadzono również w Krakowie. Do szkoły w Konopnicy dołożył Adam z własnej kieszeni z górą 8 tysięcy koron, ale zrobił to tak cicho, tak pokryjmu i tak się zastrzegł umiejętnie przeciw ogłoszeniu tego faktu, że nie dopuścił nawet do podziękowania na Walnym Zjeździe delegatów.

I odtąd robił tak zawsze. A nie był bynajmniej człowiekiem bogatym. W roku 1900 porzucił stanowisko zastępcy sekretarza we Lwowskiej Izbie Handlowej i Przemysłowej i założył niewielką Kasę Pożyczkową, którą, gdy się rozwinęła, zamienił na Galicyjską Kasę Zaliczkową, ażeby wreszcie przekształcić ją na wielkie przedsiębiorstwo akcyjne pod nazwą Ziemiński Bank Kredytowy we Lwowie. Jako dyrektor miał przyzwoity dochód, ale o bogactwie niema co mówić. Wyraźnie zaznaczał, że dzieciom daje wykształcenie, aby im nie dawać majątku i wszystkie nadwyżki, poza dość skromnym utrzymaniem, oddawał na cele publiczne. Po wojnie dawał nawet nad możność i popadł w trudne warunki osobiste.

Samodzielną pracę Kół T.S.L. we wschodniej Galicji możnaby podzielić na pewne etapy, których nie można oznaczyć datami. Zaczynano zazwyczaj od kursów dla dorosłych analfabetów. Potem puszczano się na wieś, wyszukawszy mniejszości polskie, przywożono im bibliotekę w prezencji jako czytelnię, odwiedzano ją dość często i wygłaszano patriotyczne wykłady. W uroczystość trzeciego maja zwoływano czytelników z całego powiatu do miasta dla wzięcia udziału w obchodzie. Zwoływano również wiece oświatowe i urządzano uroczystości narodowe po wsiach lub parafjach. Była to ciągła nauka polskości.

Chłopi, nabrawszy zaufania do prelegentów, przychodzili nieraz do nich z prośbą o poradę w nadarzonych trudnościach. Powoli też, z rozmaitą skutecznością, organizowano w siedzibach kół porady prawne, które nieraz przyjmowały charakter adwokackiej obrony bezpłatnej dla biednych.

W bardzo wielu kółach działacze Towarzystwa Szkoły Ludowej, nie poprzestając na samych przemowach patryjotycznych, zakładali Kółka rolnicze i Kasy Raiffeisena (dziś zwane Kasami Stefczyka, który przed wojną był dyrektorem patronatu tych kas i wielce się zasłużył okolo zakładania, kontrolowania i administrowania temi instytucjami oszczędności i pożyczek).

Niektóre kółka zakładały szkoły polskie dla polskich mniejszości po wsiach i przystępowały do wnoszenia budynków szkolnych. Zarząd Główny musiał znów przychodzić z pomocą pieniężną, a tak samodzielna inicjatywa kół narażała Kasę Zarządu na nowe wydatki, zamiast przynosić jej tak potrzebne zasilki.

Adam przystąpił we Lwowie do budowania bursy ze składek i z własnych pieniędzy. Ruch zakładania burs rozszerzył się jednak dopiero wtedy, kiedy sędzia Dr. Jan Wierzbowski z Zaleszczyk obmyślił plan burs, utrzymywanych w domach, wynajętych przez 20 najmniej członków, którzy na ten cel obłożą się stałą daniną po 6 koron miesięcznie. Zarząd Główny aprobował tę inicjatywę i po wszystkich prawie miastach powiatowych zabrano się do zakładania takich burs dla młodzieży wiejskiej w szkołach średnich, oraz dla młodzieży, uczącej się rzemiosła. Gdzie jednak przedsiębiorczość była większa, tam pozatem zabierano się do wnoszenia budynków bursackich ze składek i różnego rodzaju karotażu, jak festyny, wenty, kiermasze, tombole, zabawy i t. d. Pomysłowość w zdobywaniu pieniędzy była wprost nieprzebrana. Zakładano się między sobą na rzecz T.S.L., płacono grzywny za niepoprawne wyrażanie się po polsku, łagodzone spory o obrazę zaplaceniem grzywny na T.S.L. i t. d.

Prof. Stanisław Srokowski w Tarnopolu zorganizował z młodzieży seminarjalnej chór, śpiewający kolendy i przez styczeń chór ten jeździł po dworach, plebanjach i t. d. „z ko-

lenda na T.S.L.". Rozumie się, że tacy kolendnicy zbierali o wiele większe datki niż zwyczajni. Ten pomysł został w lot pochwycony przez wiele innych kół, a po mniejszych miastach młodzież szkół średnich, bawiąca na świętach, samorzutnie urządziła taką kolendową kwestę na T.S.L.

W mieście, będącem siedzibą koła, starano się z kwesty książkowej po domach i z zakupów stworzyć wypożyczalnię miejską. Prof. Srokowski w Tarnopolu zbudował dla takiej wypożyczalni, liczącej 20 tysięcy tomów, osobny gmach, gdzie założył także Muzeum Podolskie i biuro dla Zarządu Koła. W budowaniu gmachów okazał się ten profesor najgenialniejszym przedsiębiorcą ze wszystkich działaczy, bo nie mogąc z własnej kieszeni, jako ubogi człowiek, nie dokładać na wzór Adama, zbudował kilka gmachów, przedstawiających razem miljonową wartość, tylko że składek, zapobiegliwości nieustającej i bezprzykładnej pracy.

Ofiarność była niewyczerpana u tych, którzy żyli tylko ze skromnej pensji. Oddziaływała tak zachęcająco, że kobieta wiejska Bobrowa w Prusach pod Lwowem ofiarowała całą swoją zagrodę z kilkoma morgami pola na budowę szkoły polskiej. Hr. Starzeńska w Kołomyji ofiarowała swój dworek w mieście towarzystwu na bursę, a gdy kolo tamtejsze wybudowało potem stosowny gmach na bursę, dworek ten został przeznaczony na biura koła. Notarjusz Klemensiewicz ofiarował swoją kamienicę w Krakowie, gdzie mieści się biuro Zarządu Głównego.

W metodach pracy uświadamiającej znajdowano coraz nowe pomysły. Prof. Jan-Zamorski z Tarnopola zainicjował wycieczki ludowe osobnym pociągiem do Krakowa. I przedtem urządzano czasami wycieczki do Krakowa, opłacane przez ofiarnych ziemian i księży. Nowość polegała na tem, że wszystkie koszty przejazdu i utrzymania ponosili sami uczestnicy chłopi. Odtąd wycieczki do Krakowa stały się jedną z najskuteczniejszych form uświadamiania narodowego, a w Krakowie Zarząd Główny musiał niebawem zorganizować i wykształcić przewodników dla ludu po Krakowie i urządzić dom noclegowy dla wycieczek. Wszystkie koła wzięły wycieczki Krakowskie do swego programu.

Zarząd Główny, którego duszą był Dr. Adam, przyjmował każdą pożyteczną inicjatywę. Kiedy prof. Zamorski, założyciel kilkadziesiąt nowych kół T.S.L. na Podolu, pozostał z nimi w ciągłej styczności i korespondencji, udzielając wskazówek, Zarząd Główny wyciągnął z tego faktu wnioski do zmiany statutu w tym kierunku, ażeby koła połączyć w organizacje okręgowe. Tworzono okręgi z terytorjów o podobnej strukturze, dawano nowo założonym, słabym kołom pomoc i wskazówki ze strony doświadczonych pracowników, włożono na okręgi obowiązek zakładania nowych kół tam, gdzie istnieją warunki, a niema inicjatywy. Przystąpiono do ścisłego ujęcia kraju w ramy organizacji.

Kto brał udział w tej pracy? Czytelną miejscową opiekował się nauczyciel, o ile był, a w jego braku ochoczy gospodarz. Nauczyciele polscy mają w tym kierunku nieocenione zasługi. Obok nich księża, na początku pracy T.S.L. bardzo nieliczni, bo parafje polskie bywały ogromne. W miastach mniejszych nauczyciele, księża, urzędnicy podatkowi, poczmistrze, notariusze, adwokaci, lekarze, a w trochę większych i dużo większych profesorowie szkół średnich, sędziowie, urzędnicy skarbowi i t. d. i t. d. Jednym słowem inteligencja.

Towarzystwo Szkoły Ludowej osiągnęło to, że inteligenci wyszli z miast, opuścili kasyna i nudy w własnem zamkniętem kółeczku, a weszli między chłopów i rzemieślników, uczyli ich Polski, zainteresowali się ich potrzebami, naprzód oświatowemi, potem życiowemi i pomagali im poradą prawną, kółkami rolniczemi, Kasami i t. d., ułatwiali kształcenie dzieci w rzemiosłach i w szkołach, współpracowali z nimi. Polacy z miast i wsi bez względu na majątek, stopień wykształcenia, sposób zarobkowania i rangę, stali się braćmi, dziećmi jednej matki ojczyzny. Tak cudownej chwili, takiego podniesienia ducha i takiej radości życia nie ma chyba żadna epoka dziejów od wieku i więcej.

Miał słuszną Dr. Adam i miał należyte widzenie przyszłości oraz zrozumienie charakteru narodowego i potrzeb chwili, kiedy postanowił i przeprowadził przystosowanie czeskiej Matice Skolska i niemieckiego Schulvereinu do potrzeb naszego narodu w organizacji Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Było prawdziwym szczęściem dla sprawy narodowej, w szczególności zaś dla pracy T.S.L., że od roku 1899 zajmował arcybiskupią stolicę we Lwowie mąż wielkiego umysłu, jeden z najświetlejszych i najzasłużeńszych ksiąząt kościoła w Polsce Ks. Dr. Józef Bilczewski, kapłan wzorowy wedle przejrzenia Pańskiego i prawdziwy Polak. Przyszedszy z Uniwersytetu krakowskiego na arcybiskupstwo, zobaczył że dla ratowania katolicyzmu konieczne jest mnożenie parafii polskich. Bywały bowiem wypadki, że rzymsko-katolicka ludność z 30 wsi, a czasem więcej, należała do jednej polskiej parafji, gdy tymczasem w każdej z tych wsi była parafja unicka. A że to wiara jedna, katolicka, więc ludność obrządku łacińskiego zaspakajala potrzeby religijne w unickiej cerkwi na miejscu, przyjmowała obrządek unicki i ruszczyła się. W Galicji wschodniej obrządek decyduje o narodowości. Za przykład niech posłuży wieś Suchowce w powiecie zbaraskim, która przed rokiem 1880 nie miała ani jednego Rusina, a w 1903 już ani jednego Polaka. Cała przeszła na unię, bo do kościoła parafialnego w Zbarażu miała 21 kilometrów bezdroży, a cerkiew unicką na miejscu.

Przechodzenie na unię było dla polszczyzny klęską, dla katolicyzmu niebezpieczeństwem. Ponieważ unicy księzą zenią się tak, jak prawosławni, stan kapłański obierają tam młodzi ludzi raczej dla chleba niż dla powołania. Między unickimi księżmi nie braklo otwartych niedowiarków, drwiących ze spełnianych ceremonii, którzy za to byli nieprzebiehającymi w środkach agitatorami politycznymi, gloryfikującymi zbrodniczość. Utrzymywanie zatem łacinników przy polszczyźnie było utwierdzaniem ich w przynależności do katolicyzmu i na odwrót pielęgnowanie katolicyzmu ratowało ich dla polskości. W Galicji wschodniej katolicyzm i polskosc stały się synonimami. Gdy więc parafii polskich było nadzwyczaj mało, a ruskie w każdej prawie wsi, ludność polska ruszczyła się w sposób zastraszający bez żadnej przeszkody ze strony władz i społeczeństwa polskiego. Można śmiało powiedzieć, że najmniej połowa Rusinów w województwie lwowskim i tarnopolskim są pochodzenia polskiego.

Pierwszym, który na ten brak zwrócił uwagę, był ks. Stanisław Stojalowski. Jako proboszcz w Kulikowie pod Lwowem

miał bardzo rozległą parafję, to też wniósł podanie do konsystorza w roku 1883, aby mu pozwolono zbudować kaplicę pomocniczą w drugim końcu parafji we wsi Mohylany. Arcybiskup Morawski odmówił zezwolenia. Mimo to ks. Stojałowski jeździł raz na miesiąc do Mohylan ze mszą, którą odprawiał w pokoju na połowym aparacie. Ta samowola ściągnęła na niego cenzurę kościelną i przyczyniła się do suspendowania go w 1888, a potem do bezprawnego usunięcia z probostwa. Ks. Stojałowski i tutaj, jak we wszystkich innych poczynaniach, wyprzedził swoje społeczeństwo przynajmniej o ćwierćwieku i dlatego został zniszczony.

A przecież największy jego wróg i przesładowca, najmniej polski, a najbardziej austrijski ksiądz, sufragan lwowski Puzyna, późniejszy kardynał i biskup krakowski, musiał dla ratowania katolicyzmu rozpocząć budowanie kościołów wedle myśli Stojałowskiego w ostatnich latach XIX wieku, zanim przeszedł do Krakowa. Dorywcze początki, dane przez ks. Puzynę, wykonał planowo arcybiskup Bilczewski. Masowe przechodzenia Polaków na unję całemi wsiami, bezwstydną „kradzież dusz“ polskich przez zapisywanie ich do ksiąg cerkiewnych przy chrztach i nie odsyłanie metryk do właściwych parafii łacińskich obudziły czujność także i świeckiego społeczeństwa polskiego. Nowy arcybiskup znalazł oddźwięk i posłuch u wszystkich Polaków.

Pracownicy T.S.L. okazali się najczynniejszymi pomocnikami Arcybiskupa. Wskazywali wsi, nadające się na budowę kościoła, zbierali składki, pomagali właściwym proboszczom w zbieraniu datków od włościan, zakładali komitety budowlane i t.d. Praca oświatowa skojarzyła się z pracą narodowo-religijną. Arcybiskup, rozporządzający wielkimi dochodami, ograniczał się do pustelniczego prawie życia, ażeby wszystkie nadwyżki rozdawać na fundusz budowlany niezliczonym komitetom, a po miastach obmyślano najdziwaczniejsze sposoby karotowania na te cele. Wystarczy powiedzieć, że od roku 1899 do 1914, za 15 lat zaledwie zbudowano i obsadzono 116 nowych kościołów, zbudowanych z datków Arcybiskupa i ze składek chłopów oraz inteligencji miejskiej. W wielu wsiach miejscowi ziemianie przyczyniali się walnie do wznoszenia kościołów i rezydencyjek. Ruch był zaś tak

powszechny, prąd tak porywający, że i ziemianie-żydzi stawali się podporami budowy takich kościołów.

Ta pomoc ze strony świeckiej inteligencji była radosną, ale i kosztowną nieraz dla Arcybiskupa. Opierając się na wspólności interesu, ile razy gdzieś przystępowano do budowy szkoły, sokolni, ochronki, bursy, udawano się do Arcybiskupa po składkę, a ten nie dawał nigdy mniej niż 500 koron.

Wytworzył się nawet pewien szablon finansowania takiej potrzebnej budowy. Gdy ją postanowiono, rachowano jako pewną kwotę: 500 koron od Arcybiskupa, tyleż od Zarządu Głównego T.S.L., następnie pewną sumę od Rady Powiatowej, o ile marszałek powiatu nie był nieużytkiem i albo zadatkowywano plac, albo robiono umowę z przedsiębiorcą. Resztę, idącą w tysiące, brano na siebie, na ofiarność publiczną, obrotność własną, szukanie dobrodziejów i td.

Ta współpraca stała się całkowitem zlaniem się wielostronnych wysiłków, od chwili, kiedy Zarząd Główny wydzielił z siebie tz. Sekcję wschodnią i kiedy Dr. Adam, złożony skarbnikowstwo, został jako wiceprezes Zarządu Głównego przewodniczącym tej sekcji. Odtąd sprawa oświaty narodowej, z czytelniami, szkołami, domami ludowemi, kółkami rolniczemi, kasami, kursami, wykładami i t. d. spłotła się nierozzerwalnie z pracą religijną, jako to budowa kościołów i mieszkań dla księży, oraz wyrabianie uposażenia dla tych księży. Arcybiskupstwo i Towarzystwo Szkoły Ludowej, ks. Dr. Bilczewski i Dr. Adam pracowali razem, jakgdyby byli na jednym posterunku, albowiem wszystkie specjalne zainteresowania jednego były podzielane przez drugiego i wzajemnie się uzupełniały. Ta współpraca jest tem bardziej budująca, jeżeli się zważy, że Dr. Adam był protestantem, a jednak z narodowego, polskiego punktu widzenia oddał Kościołowi Katolickiemu więcej usług, niż tuziny ludzi od wieków w katolicyzmie wychowanych.

Demokratyczna inteligencja polska z początku wieku XX współpracująca z biskupem i z księżmi, przyczyniająca się do fundowania kościołów, ubiegająca się o zwiększenie liczby parafji i td. jest wprost odmienna od tej demokratycznej inteligencji z końca XIX wieku, która pomagała w deptaniu

narodowej pracy ks. Stojalowskiego w imię walki z klerykalizmem. Dotknięcie się życia i jego realnych warunków, praca zamiast doktryny pożyczonej, przeobraziły dusze w imię ideału narodowego. Miejsce liberalizmu, walczącego z religią, jako środkiem do ujarzmiania ludzi, miejsce indyferentyzmu-zastąpiło nierozzerwalne splecenie religii z nacjonalizmem, jako warunku postępu moralnego i rozwoju.

Doszło do tego, że niejednokrotnie na zebraniu inteligent miejski wygłaszał przemówienie religijno-moralne, a ksiądz patryjotyczne, aby unaocznic ludności, że religja nie jest urządzeniem, które obowiązuje tylko ciemnotę i że patryjotyzm nie tylko nie sprzeciwia się religijności, ale przeciwnie jest przez nią uświęcany.

Z ręki Arcybiskupa Bilczewskiego wychodzili kapłani, przejęci nowym duchem, duchem pracy obywatelskiej i poświęcenia. Ks. Bilczewski nie wahał się urządzać w seminarjum duchownem kursów społecznych, ze szczególnem uwzględnieniem pracy oświatowej, gospodarczej w kółkach rolniczych i finansowej w kasach Raiffeisena. Kursy te prowadzili ludzie świeccy: Bronisław Dulęba dla kółek rolniczych i innych gospodarczych rodzajów działalności -samopomocowej, a Dr. Franciszek Stefczyk dla spółek oszczędności i pożyczek. Dr. Adam delegował prelegentów na wykłady o pracy oświatowej.

Temu obywatelskiemu przygotowywaniu przyszłych księży dodał ognia i płomiennosci właściwy wychowawca kleryków, ks. Władysław Bandurski, powołany przez Arcybiskupa Bilczewskiego na rektora seminarjum duchownego, jako biskup sufragan. Był to pierwszorzędnny kaznodzieja, poeta pełen zapału, który swoim ogniem, wiecznie gorejącym, zapalał wychowanków.

To też młodzi księża zajęli obok nauczycieli najważniejsze miejsce w pracy oświatowej, ratując dusze od zruszczenia, podnosząc zdrową oświatę, rozszerzając horyzonty i czyniąc z masy łacinników świadomych obywateli narodu.

Była to praca prawdziwie misjonarska. Młody ksiądz zdierał zdrowie na wikarjuszostwie, a gdy potem został samodzielnym ekspozytem przy nowo zbudowanym kościółku,

musiał żyć ze sześciuset koron rocznej płacy, nie mając nieraz zagona ziemi i rezygnując z opłat za usługi religijne t.zw. iura stolae, aby ludzi nie odstręczać. A nie mniej w tej biedzie, dobrowolnie przyjętej, wśród trudów niebywałych, bo ludzie ci zobowiązani byli do binowania, czyli do odprawiania w niedzielę dwóch jutrzni, dwóch mszy z dwoma kazaniami i dwojga nieszporów w odległych końcach parafji, był zapal, radość i zadowolenie. Nigdy chyba w Polsce nie było tyle słońca w duszach, tyle wesela na twarzach, tyle życia i zadowolenia z pracowitości tego życia, ile we wschodniej Galicji przez ostatnich piętnaście lat aż do wojny.

Za młodymi księżmi poszli starsi. Rozruszali się starszycy i po odprawieniu nabożeństwa, biegali do czytelnika na pogadanki, do kółek na obmyślenie zamówień w nasionach, nawozach, narzędziach rolniczych, odmianach bydła, próbach z nasionami i t. d., na kontrolowanie rachunków w sklepie kółkowym, w kasie pożyczkowej i t. d., na urządzenie przedstawień, uroczystości i t. d.

Pod czarownym zaklęciem pracy w T.S.L. wszyscy Polacy: świeccy i duchowni, wykształceni i niepiśmienni, stawali się jedną rodziną, pracując na lepszą przyszłość swojego narodu.

Chłopi, czytając książki i tygodniki, albo słuchając co niedziela lektury, przysłuchując się wykładom i dyskutując o ich treści, przemienili się wkrótce w obywateli, świadomych swoich praw i obowiązków, pracujących planowo na lepszą przyszłość dla dzieci, związanych zaufaniem i życzliwością z duchowieństwem i inteligencją polską. Miejsce dawnej podejrzliwości zajęła ufność, miejsce nieśmiałości pewność, miejsce nieświadomości poczucie narodowe. Kto zaś przez kilka dni oglądał podczas wycieczki pomniki Krakowa i napił się dumą przeszłości, ten potem czuł się niejako wtajemniczonym wyższego stopnia w zakonie narodowym, nosił honor imienia wysoko, unikał wszelkiej nieuczciwości i plany, ponosił ofiary na rzecz dobra wspólnego.

Ta współpraca przerobiła dusze inteligentów. Stali się sumiennymi w urzędach, załatwiali szybko i sprawiedliwie sprawy, byli uprzejmi dla stron, czy przychodziły w surducie, czy w płótniance lub kozuchu. I uczyli poczucia prawa przez równe jego stosowanie do wszystkich.

Była to prawdziwa demokracja, nie doktrynerska, jak w ostatniem ćwierćwieczu XIX stulecia. Wówczas krzykliwy demokracja przyjmował chłopca na korytarzu lub w przedpokojku przy drzwiach, ręki mu nie podał, po jego odejściu przedpokój wietrzył, mimo, że miał usta pełne frazesów o „ludzie“. Zaciągnięci do pracy w Tow. Szkoły Ludowej inteligenci traktowali chłopca tak w urzędzie, jak w domu, jako równego obywatela, podawali mu rękę przy spotkaniu, sadzali podczas odwiedzin, omawiali wspólne sprawy po sąsiedzku, używając surowego skarcenia, gdy ten obywatel domagał się rzeczy niesłusznej i nie używając wyrazów „demokracja“, „lud“, byli prawdziwymi demokratami w postępowaniu, w całym życiu.

Tak było tam, gdzie praca T.S.L. docierała. Ale wszędzie nie dotarła jeszcze do dziś dnia. Poza wielu przeszkodami najważniejszą był analfabetyzm, który w roku 1900 wynosił 57 % ludności.

I nie było nadziei na rychłe wyępienie tego analfabetyzmu, bo Sejm galicyjski wytworzył sobie pewien szablon, przypominający dzisiejszy szablon t. j. „sieci szkolnej“ i zakładał stopniowo szkoły ludowe w większych wsiach, stawiając budynki kosztowne i systemizując wyższe, a więc droższe typy szkoły, podczas gdy większość wiosek dalej nie miała szkoły etatowej. W tym tempie możeby za lat 50 nasyciono kraj szkołami, przy czem należałoby czekać, aż starsi analfabeci wymrą, czyli za 100 lat można się było spodziewać wygaśnięcia analfabetyzmu.

Do tego przychodziła strata narodowa. O języku wykładowym w szkole decydowała uchwała rady gminnej. W większości gmin zatem mniejszość polska musiała uczyć się po rusku i nie miała możliwości nauczenia się nawet czytania polskiego. Do tego szablon kazał tymczasem przyłączać mniejsze wsie do okręgu szkoły we wsi większej i w ten sposób mnóstwo czysto polskich wiosek należało przymusowo do szkół ruskich.

Towarzystwo Szkoły Ludowej nie miało z początku innej rady przeciw temu ruszczeniu Polaków przy pomocy szkoły krajowej, jak zakładanie prywatnych szkółek czytania

i pisania polskiego przez przygodnych nauczycieli w wynajętych chatach. Tak prezes tarnopolskiego koła prof. Srokowski w jednym roku założył 9 szkólek w parafji opryłowickiej. Inne koła robiły podobnie w miarę środków i pomocy Zarządu Głównego. Kiedy liczba dzieci w takiej szkółce osiągnęła cyfrę, przewidzianą przez szablon, szturmowano do Rady Szkolnej Krajowej o przyjęcie szkoły na etat Krajowy. Kiedy Rada Szkolna krajowa stawiała trudności, Towarzystwo stawiało budynek szkolny i oddawało władzom krajowym na własność, obciążwszy hipotekę warunkiem, że musi tam być język polski wykładowym i że na wypadek niedopełnienia tego warunku, budynek wraz z placem wraca na własność Towarzystwa.

Dwie osoby wprowadziły w tę sprawę skuteczny i szybkie dający wyniki system. Jednym był zastępca namiestnika w prezydenturze Rady Szkolnej Krajowej Dr. Ignacy Dembowski, najlepszy Polak, prawdziwy obywatel i ojciec nauczycielstwa ludowego, czego wprost niezapomniane dowody złożył podczas wojny — a drugą dyrektorka szkoły żeńskiej we Lwowie p. Aniela Aleksandrowiczówna, niestrudzona, niewyczerpana w pomysłach i nieugięta w wytrwałości działaczka Towarzystwa Szkoły Ludowej. Należała zawsze do Zarządu Głównego, a teraz w Sekcji wschodniej tego Zarządu poza innymi pracami, zwłaszcza między kobietami i dziewczętami wsi i miast, objęła referat szkolny. Referat ten zawiera, i szkółki początkowe, i kursy doksztalcające, i ochronki i wiele innych spraw. Dwie te osoby wpadły na pomysł, ażeby tak we wsiach większych z ruską szkołą, jak we wsiach polskich do ruskiej szkoły przyłączonych, otwierać na koszt kraju przy rozmaitych świadczeniach ze strony Towarzystwa, o ile budżet szkolny kraju nie mógł wytrzymać obciążenia, tak zwane klasy eksponowane polskie. Takie klasy eksponowane dawały dzieciom naukę polską, a zaledwie osiągnęły ustawową liczbę dzieci, bywały przemieniane na samoistną szkółkę polską. Rocznie powstawało takich klas po kilkadziesiąt, utrzymywanych częściowo, czasem całkowicie przez T.S.L., zanim rada Szkolna Krajowa mogła je przejąć na etat krajowy.

I tu znowu trudno dać wyobrażenie o trudzie codziennym, zagłuszającym, zabierającym każdą chwilę wolną, jakie-

go podjęła się p. Aniela Aleksandrowiczówna, badając na terenie dzisiejszych trzech województw stosunki, wynajdując dzieci, tymczasowe umieszczenie, nauczycieli i. t. d., potem w ramach budżetu krajowego wyciskając stosowne fundusze i obmyślając z Dr. Dembowskiem sposoby sfinansowania sprawy, ażeby na jej miejsce wstawiać nowe wsi, nowe klasy. I tak przez długie lata bez wytchnienia.

A Dr. Adam musiał wynajdywać pieniądze na te coraz rosnące potrzeby i nigdy się nie znużył, nigdy nie wyczerpał, nigdy od tej żmudnej współpracy nie chciał się oderwać. Oddanie tego referatu p. Aleksandrowiczówniej, najwłaściwszej w Polsce osobie dla takiej roboty, jest jeszcze jednym dowodem na to, jak Zarząd Główny, a specjalnie Dr. Adam umiał wykorzystywać uzdolnienia, zachęcać i popierać, wyszukiwać odpowiednie osoby dla odpowiednich prac i jak dla dobra sprawy umiał z temi osobami współpracować.

Ten kierunek pracy T.S.L., który dla skrócenia można nazwać zakładaniem klas eksponowanych, przyczynił się tak bardzo do rozszerzenia rudymentów oświaty, że można śmiało powiedzieć, iż trzy, a może czterokrotnie skrócił okres rozszerzenia szkolnictwa początkowego w Galicji i tyleż razy przyspieszył usunięcie analfabetyzmu.

Samo to uwypuklenie pewnych wybitnie zasłużonych osobistości w pracy oświatowej świadczy o jednym, najbardziej charakterystycznym, rysie Dr. Adama. On przyciągał i utrzymywał przy pracy wszystkich, którzy pracować chcieli, mogli i umieli, krył się niejako za nimi, brał na siebie najcięższe i najmniej błyskotliwe obowiązki i unikał uznania. W początkach był sekretarzem, który pod firmą prezesa Asnyka 1891 — 1897 organizował towarzystwo, — następnie za prezesury Dra. Ernesta Bandrowskiego (1897 — 1920) skarbnikował, kiedy przez pokazanie wyników pracy, które kosztują, trzeba było zyskać zaufanie i obudzić ofiarność, a potem przewodnicząc w Sekcji wschodniej, występował. tak, jak gdyby jego praca ograniczała się do przewodniczenia na posiedzeniach i chętnie widział, jak uznanie spotyka innych zasłużonych pracowników, byleby on sam pozostał w cieniu, bo ubieganiem się o uznanie mógł być zadrasnąć ambicję i może zniechęcić do pracy.

Nie był bogatym — a na szkołę w Konopnicy, na Bursę Grunwaldzką, na Szkołę Handlową, na boisko dla Bursy, na zakupno księgozbioru, na Czytelnię Naukową, i t.d. łożył takie sumy, że jego ofiarność wprost zdumiewa. A na tem nie koniec. Teraz, kiedy przez śmierć jego, członkowie Zarządu Głównego i Komisji Kontrolującej czują się zwolnionymi od milczenia, które mu za życia musieli solennie przyrzekać, wychodzi na jaw, iż corocznie między darami wielokrotnie powtarzające się pozycje: N. 3,000 koron, N.N. 7,000 koron, N. 15,000 koron N.N. 2,000 złotych są to wszystko ofiary Dra Adama. Za życia delegaci musieli się kontentować wyjaśnieniem, że to jakiś ofiarodawca, który nie życzy sobie być wymienionym, składa te ofiary. Dziś wychodzi na jaw, że za każdym razem, kiedy Zarząd potrzebował pieniędzy, a w kasie były pustki, Dr. Adam z własnej kieszeni płacił sumę, a gdy nie miał gotówki, brał pożyczkę z banku, którą potem, o ile nie przechodziła jego możliwości, sam spłacał.

I nie było dla niego większej radości, jak takie ukrycie swojej ofiary lub zasługi, że nikt się nie domyślał i wszyscy zachodzili w głowę. Miewał wtedy zadowoloną minę ucznia, który spłacał figla, a nauczyciele nietylko go nie wykryli, ale nawet nie podejrzewają.

Tak było z całą jego działalnością. Nie tylko nie wysuwał się na czoło, ale rozmyślnie krył się i wielkie nieraz czyny, zadziwiające dorobki wychodziły jako wyniki zbiorowej woli, jako zupełnie bezimienne dzieło, dokonane przez całe bezosobowe towarzystwo.

Przez swoją skromność, po prostu do przesady posuniętą, był naprawdę podobny do duszy towarzystwa, która całe ciało ożywia, a jest niewidoczna. Dostępny, popularny, w obejściu prosty, z dowcipem wykwinnym, który rozwesela, a nie rani ani zgrzytu nie wywołuje, był kochany i szanowany przez wszystkich. Posiadał sztukę łagodzenia sporów i umiał posadzić obok siebie do pracy ludzi, zwalczających się zaciekle w polityce.

Z tem usposobieniem nadawał się najlepiej do utrzymania bezpartyjności czy nadpartyjności towarzystwa. I temu charakterowi nadpartyjnemu zawdzięcza T.S.L. swój ogromny

rozwój i całkowite przeobrażenie umysłowości u inteligencji oraz u tej części ludu, którą swoją pracą już objęło.

Towarzystwo Szkoły Ludowej poza dorobkiem oświatowym, który jest ogromny, ma jeszcze tę zasługę, może nie mniej wielką, że skupiło, zorganizowało i uspołeczniło naród polski, przede wszystkim w Ziemi Czerwieńskiej. Uprzymiśniliśmy im wspólny ideał narodowy, natchnęło wszystkich myślących i czujących po polsku do pracy i ofiar. Tajemnicą powodzenia towarzystwa było zapukanie do najszlachetniejszych instynktów: do ofiary. Nauczyciele ludowi byli bardzo źle płatni: poprostu przymierali głodem. Nielepiej od nich stali liczni księża ekspozyci. A jednak ci biedacy dawali swój czas, tracili ostatni grosz i pracowali oświatowo. Inteligenci miejscy płacili składki, dawali się nabierać przez rozmaite kwesty, wenty, przedsiębiorstwa i za własne pieniądze wyjeżdżali na wieś. Pracowali i do tej pracy dopłacali. Za to, że ta praca nie obiecywała żadnej kariery — z początku nawet karierze bardzo szkodziła — że nie przynosiła żadnych dochodów, bo tylko narażała na wydatki, za to właśnie była tak owocna i tak szlachetna w swoich skutkach. Miłość Polski budziła zapał, a zapał osładzał-trudy i dawał zdolność do ofiar, a nawet do poświęcenia.

Tej pracy zawdzięczamy fakt, że 1,600,000 Polaków Galicji wschodniej zostało uratowanych od wynarodowienia. Gdyby ta praca była zaczęła się wtedy, kiedy jej potrzebę dojrzał ks. Stojalowski, byłoby się uratowało przynajmniej półtrzecia miliona dusz polskich. Gdyby zaś tej pracy nie było, powstająca Polska byłaby poza urzędnikami i ziemianami nie zastała w tamtych stronach może ani jednego Polaka.

IV.

Wedle jednomyślnej opinii finansistów byłej Galicji Dr. Adam był najtęższym umysłem finansowym w tamtej dzielnicy. To jego uzdolnienie, jakoteż kupiecka tradycja, wyniesiona z domu rodzicielskiego, sprawiły, że nie umieścił się jako jeden z najzdolniejszych studentów w żadnym urzędzie, jak to było powszechnym obyczajem, lecz samodzielnie pracował na chleb w kierunku, zupełnie zaniedbanym, a przeważnie nieznanym dla społeczeństwa polskiego. Z początku był zastępcą sekretarza, a potem referentem przemysłowym w autonomicznej Izbie Handlowej i Przemysłowej we Lwowie, ale w roku 1900 porzucił to stanowisko i objął kierownictwo „Kasy Pożyczkowej“. Przyswiewiała mu myśl stworzenia polskiej instytucji kredytowej i powolnego usamodzielniania społeczeństwa od przemożnego wpływu zakładów wiedeńskich i czeskich, oraz związanych z nimi instytucji żydowskich na miejscu. Umiejętne kierownictwo rozwinęło ten drobny zakład, który przeorganizował na większą instytucję pod nazwą „Galicyska Kasa Zaliczkowa“, a wkońcu na wielkie akcyjne towarzystwo „Ziemski Bank Kredytowy“. Po odbudowaniu Polski „Ziemski Bank Kredytowy“ otworzył filje w Gdańsku, w Warszawie, w Poznaniu, w Katowicach, Krakowie, Lublinie i t.d. i gdyby nie inflacja byłby z pewnością został pierwszą instytucją w Polsce. Sumienny Adam nie chciał spekulować na zniżkę marki, aby wzbogacać swój zakład zubożeniem obywateli i dlatego Bank ten popadł w znaczne trudności.

Za cel postawił Bankowi finansowanie rodzimej wytwórczości w ten sposób, że pewne gałęzie pracy usamodzielniał w odrębne jednostki prawne i dawał im odrębne życie niezależne przy planowem poparciu ze strony Banku. Tak

powstała fabryka lokomotyw „Parowóz“ w Warszawie, tak fabryka naczyń emaljowanych w Olkusz, tak biuro podróży „Orbis“ we wszystkich wielkich miastach Polski i t. d.

Przy centrali we Lwowie utworzył oddział parcelacyjny, który w kilku latach osiedlił 50 tysięcy rodzin polskich na żyznych ziemiach województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. Jego plan parcelacyjny był najpiękniejszym, najbardziej obywatelskim i polskim pomysłem, a równocześnie bardzo praktycznym. Na wielkim obszarze tworzył nową wieś, zostawiał plac i uposażenie na kościół, na szkołę i na dom ludowy z kasą, sklepem, czytelnia, salą zebrani i pomieszczeniem dla różnych stowarzyszeń gospodarczych i kulturalnych. Na nieszczęście spadek waluty, brak bezpieczeństwa prawnego i wieczne przesilenie państwowe nie pozwoliły na przeprowadzenie tego dzieła w całej piękności wzorowego pomysłu.

Posiadając rzadkie u Polaków zrozumienie dla spraw finansowych, handlowych, przemysłowych i gospodarczych, postanowił Dr. Adam uzupełnić polską cywilizację, jednostronnie ziemiańską i szlachecką, temi wiadomościami i zainteresowaniami, których brakuje wszystkim, a zwłaszcza inteligencji, wychowanej po literacku.

Wkrótce po przybyciu do Lwowa zakrzętała się około założenia wzorowej Szkoły Handlowej. Wiedząc, że działacze, a więc i Zarząd Główny T. S. L. składają się przeważnie z intelektualistów i nie mają wprost zmysłu do prowadzenia takiej instytucji, założył odrębne statutowe Towarzystwo Szkoły Handlowej i do końca życia był jego prezesem. Szkołę tę uposażył umiejętnie we wszystko, czego jej potrzeba, uzupełniając nieraz braki towarzystwa własną ofiarnością. Chodziło mu o stworzenie nowego typu ludzi, mających rozumienie i żyłkę do handlu, przemysłu i wszelkiego rodzaju ekonomicznej przedsiębiorczości, co może uzupełnić wadliwą i jednostronną budowę naszego społeczeństwa. Wychowankowie tej szkoły, na nieszczęście nieliczni, jeśli bierzemy na uwagę całą Polskę, nie zawodzą nadziei założyciela.

W związku z tem Koła T.S.L. w Galicji wschodniej rozszerzyły swoją działalność przez zakładanie burs rzemie-

ślnicznych. Umieszczano w nich młodzież włościańską, terminującą u miejskich majstrów, aby ją na czas terminowania ustrzedz przed rozkładczym wpływem ulicy miejskiej, dać jej nie tylko tani przytułek i opiekę u majstra, ale uzupełnić jej wykształcenie w bursie przez odpowiednią naukę, tudzież dać jej obywatelskie, narodowe wychowanie. „Sokół“ przystąpił również do współpracy, udzielając rzemieślniczym bursom nauki gimnastyki i wciągając ich w orbitę narodowego wychowania.

W ten sposób mieszczańskie pochodzenie Dr. Adama wniosło w kraj rolniczo-urzędniczy ten nowy rys, tak konieczny do normalnego rozwoju naszego społeczeństwa, mianowicie zainteresowanie i zrozumienie spraw handlowo-przemysłowych. Potrzebę tę rozumieją wszyscy, ale nie umieją się zabrać do jej zaspokojenia, albowiem wszyscy są synami cywilizacji rolniczo-szlacheckiej. Nadzieja, że nauki, kazania, związki pensjonarek w celu rozwoju polskiego handlu, przyniosą jakieś owoce, jest zawodna. Trzeba nadmiar ludności rolniczej wychowywać w atmosferze rzemiosła, handlu i przemysłu dla obudzenia w niej tych zamiłowań i zdolności.

Mimo wiecznego zajęcia sprawami zarobku, stworzenia nowych źródeł zarobkowania, kalkulacyj finansowych, szerzenia mieszczańskiej kultury i.t.d, był i pozostał Dr. Adam idealistą, człowiekiem osobiście bezinteresownym, brzydzącym się wszelką nieuczciwością zarobkową. Nakłanianie ludzi do handlu i przemysłu, kierowanie instytucją finansową i.t.d. pojmował jako posłannictwo narodowe, i spełniał jako kapłańską służbę, budując przyszłą Polskę.

W Sejmie galicyjskim, do którego wszedł w roku 1908 był stale referentem przemysłowym i na wszystkich ustawach przemysłowych, na prowadzeniu tego działu przez Wydział Krajowy, na szkołach zawodowych, utrzymywanych przez Wydział, wycisnął swoje, zbawienne piętno. Mówcą był świetnym, wykwiutnym, przekonywującym przez głęboką wiedzę, porywającym przez dobroć, rozbijającym przez delikatną, wyborową żartobliwość. Ale głos miał słaby i dlatego unikał krasomówstwa, a brał referaty rzeczowe, gdzie cyfry i fakty są jedyną wymową. Ktokolwiek znał Galicję z końcem XIX wie-

ku, a zobaczył ją ponownie przed wojną, musiał być zdumiony ogromnym postępem, uregulowaniem rzek, wielką liczbą dróg bitych i mostów, wielką liczbą szkół po wsiach, europejskim wyglądem miast i miasteczek, brukowanych, skanalizowanych, oświetlonych elektrycznie, mnożącymi się zakładami przemysłowymi i finansowymi, fabrykami, jednym słowem ogromnym dorobkiem, który w szybkim tempie zrównywał ten kraj z zachodem. Jest to wielka zasługa Sejmu galicyjskiego i Wydziału Krajowego, ale w tym Sejmie lwia część zasługi spada na niewielką garść posłów o szerokich horyzontach, między którymi Adam był jednym z pierwszych.

Pozostając w zakresie swoich społecznych upodobań, Dr. Adam założył Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, któremu przewodniczył aż do śmierci. Była to nowa forma gospodarczego dźwigania się i usamodzielnienia kraju, a przed wojną już wszędzie widać było dorobek tej wzmożonej pracy.

Sejmowe referaty posła Adama będą stanowiły dla historyka ważny przyczynek do rozwoju gospodarczego w zaborze austriackim. Przy zupełnej zmianie warunków przez wojnę i powstanie Polski większa część z nich straciła swą wartość aktualną, ponieważ obracały się w ramach ustawodawstwa austriackiego. Kto jednak potrafi wmyślić się w ówczesne warunki, ten musi podziwiać rozległą wiedzę, gruntowne opanowanie przedmiotu, umiejętność wyzyskania chwili dla dobra kraju, bystrość inicjatywy, szerokość horyzontów i przede wszystkim obywatelskiego, patriotycznego ducha. Jeżeli ideałem jest nie oderwana mrzonka, wysmażona w abstrakcyjnym marzeniu, lecz ujmowanie rzeczywistości, aby ją pociągać wyżej, udoskonalać i rozwijać, to właśnie pomysły Adama są najlepszym wzorem tego zachodniego, rzymskiego idealizmu.

Nie dziw więc, że zarząd Muzeum Narodowego w Rapperswylu powołał go na członka Rady Nadzorczej, bo umiał pogodzić rzeczywistość z najszczytniejszym idealizmem narodowym.

V.

Jako mieszczanin, który chciał uświadomić narodowo cały lud miejski i wiejski, aby na jego sercu i woli zbudować fundament przyszłej Polski, był Dr. Adam prawdziwym demokratą w najszlachetniejszym znaczeniu. Jako patrijota, który wszystkie swoje poczynania stosował do potrzeb narodu, ażeby przygotować grunt pod niepodległość Polski był narodowcem znowu w najpiękniejszym rozumieniu wyrazu. To też kiedy pod kierownictwem J. L. Popławskiego zaczął się krystalizować program narodowo-demokratyczny, jednym z pierwszych współpracowników był Dr. Adam. Pisywał w „Przeglądzie Wszechpolskim,” popularyzując przeszczepienie na grunt polski pracy organizacji czeskiej Matice Skolska i niemieckiego Schulvereinu. Ruch narodowo-demokratyczny był dla niego kierunkiem myślenia, a nie stronnictwem. I było to słuszne. Przecież każdy, kto w jakikolwiek sposób pracował, pragnął, albo bodaj sprzyjał myśli odzyskania niepodległości, to myślał o wyzwoleniu narodu, a więc wychodził ze stanowiska narodowego. A równocześnie każdy, kto dla przyspieszenia tej niepodległości starał się obudzić świadomość narodową w masach, aby z nich stworzyć siłę, był przez to samo zwoleńnikiem i szerzycielem demokracji. I było rzeczą możliwą, żeby wszystkie stronnictwa środkowe, przejęły się kierunkiem myślenia narodowo-demokratycznym. Wszystkie centra, stronnictwa ludowe, radykalne, demokratyczne z przymiotnikami i bez przymiotników, mogły, a więc powinny były myśleć, czuć i działać narodowo i demokratycznie. Był to niepartyjny i nadpartyjny kierunek myślenia. Z tego kierunku myślenia jako niepartyjnego, wyszła wszelka narodowa praca w Sokolach, kulturalna w T.S.L., gospodarcza w kasach Raiffeisena

kółkach rolniczych i t. d. Pracownicy ci nie szli w służbę żadnej partji i byliby się oburzyli, gdyby im ktoś był zarzucił działalność partyjno-polityczną.

Zresztą w Galicji było tych partji mnóstwo: dwie konserwatywne (krakowska i autonomistów podolskich), — kilka demokratycznych, jak polska demokracja w Krakowie, radykalna demokracja, postępową demokracja, mieszczańska demokracja i t. d. we Lwowie — nadto demokracja społeczna, potem chrześcijańska — następnie wiele stronnictw ludowych jak chrześcijańsko-ludowe ks. Stojalowskiego, katolicko-chłopskie Potoczaków, polsko-ludowe Stapińskiego i t. d. — a na koniec socjalna demokracja. Całe to rozbieżności pochodziło z ambicji osobistych i niezdolności do zharmonizowanej współpracy, a dla zamaskowania warcholstwa prowadziło kłótnię o oderwane hasła. Wystarczy powiedzieć, że głównych argumentów do walki między demokratami a konserwatystami w Krakowie dostarczały zagadnienia literackie. Konserwatyści chwalił Mickiewicza, a demokraci przeciwstawiali mu Słowackiego. Z jakich powodów trudno nierozważonemu zrozumieć. Konserwatyści ogłaszali powstanie styczniowe za nieszczęście, więc demokraci na złość podawali je jako wzór do powtórzenia. Jeżeli konserwatysta pochwalił Malczewskiego, demokrata musiał przeciwstawić mu Gołczyńskiego.

Z tej jałowej kłótni nie wynikała żadna robota, a zwolennicy obydwu obozów nie starali się nawet dobrze poznać poetów, którymi szermowali.

Wyjściem z tej jałowości była praca nad narodowym uświadomieniem ludu, nad kształceniem go na dobrego gospodarza i odpowiedzialnego, dorosłego obywatela. Odbywała się ta praca poza partjami przez ludzi nowych, zrażonych do partyjności. I to była prawdziwa narodowa demokracja.

Zaprowadzenie powszechnych wyborów do parlamentu w Austrii w roku 1907 zmieniło stosunki. Masy rozstrzygały i obdarzały zaufaniem tych pracowników, do których nabrały ufności za ich pracę. Ponieważ pozapartyjna praca demokratyczna i narodowa była najusilniejsza w Galicji wschodniej, więc stamtąd wybrano posłami prawie samych narodowych

demokratów. Galicja zachodnia rozbiła się na partyjki, bo tam nie było żywszej pracy ani w T. S. L., ani w Sokole.

To zdarzenie, a zarazem spryt rządu austriackiego sprawiły, że narodowi demokraci musieli zorganizować się w stronnictwo polityczne. Poszli w tym kierunku za wzorem Kongresówki, gdzie narodowi demokraci już wcześniej przybrali charakter stronnictwa. Stało się jednak przez to nieszczęście publiczne. Skoro narodowa demokracja powiększyła tylko liczbę stronnictw, inne stronnictwa uznały za swoją rację bytu zwalczanie narodowej demokracji. Narodowy kierunek myślenia nie tylko nie przeniknął do innych stronnictw, ale stał się u nich przedmiotem naganki i potępienia. I stał się fałsz niedorzeczny, że inne stronnictwa, głoszące walkę o niepodległość Polski dlatego, że Polska jest zamieszкана przez Polaków, a więc w imię prawa narodu do samodzielności, uznały za przestępstwo odwoływanie się do jedności narodu, powoływanie się na narodowość polską. Jest to niedorzeczność wprost trudna do pojęcia, bo jest to zaprzeczenie i potępienie tej zasady, w imię której wołało się o niezawisłość.

Dr. Adam jako jeden ze współtwórców narodowo-demokratycznego kierunku myślenia, został i nadal narodowym demokratą, kiedy stosunki zmusiły ten kierunek do zorganizowania się w stronnictwo. Brał na siebie robotę twórczą, pozytywną w myśl swoich dążeń demokratycznych i narodowych, ale kłótni politycznej unikał starannie. Na początku wielkiej wojny podzielał orientację narodowo-demokratyczną i był nawet skarbnikiem Obywatelskiego Komitetu we Lwowie, przeciwstawiającego się austrofilskiej Tymczasowej Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Wziął na siebie pracę, zostawiając innym walkę w obronie orientacji. Pragnął przede wszystkim ocalić wśród zawieruchy wojennej Towarzystwo Szkoły Ludowej, oraz Bank. Za to zbierał i drukował wydawane jako manuskrypt „Dokumenty Chwili“.

Po skończonej wojnie Lwów wyrzucił okupację ukraińską i został przez Ukraińców oblężony. Polska Komisja Likwidacyjna, jako tymczasowy rząd galicyjski, nie chciała mimo nalegań śp. Skarbka objąć całego kraju pod zarząd, zaniedbała stosowną chwilę dla umieszczenia się w stolicy

kraju i urzędowała w Krakowie — dlatego we Lwowie utworzył się Komitet Rządzący, w którym Dr. Adam objął Departament Skarbu.

Obrona Lwowa i odzyskiwanie Galicji wschodniej przeciągało się. Sprowadzaną z Włoch broń i amunicję dla Lwowa odkomenderowywano nieraz do Warszawy. Zarówno rozkazy jak raporty wojskowych, posyłanych do Warszawy, budziły u Lwowian podejrzenia, że pewne czynniki chcą oddać całą Galicję wschodnią razem ze Lwowem na łup Ukraińców.

W tem strasznem położeniu Dr. Adam został wyprawiony przez Komitet Rządzący do Paryża, aby przyspieszyć przysłanie Hallerowskiej armji do Polski, skoro Rząd Warszawski nie mógł skończyć owej okropnej wojny. Jakoż na lato przyszło wreszcie wojsko błękitne i Galicja wschodnia została odbita. Ale przyszła wojna z bolszewikami, którzy po klęsce kijowskiej dotarli aż pod Lwów. Kraj był tak spustoszony, że żadne opisy nie dadzą wyobrażenia.

Dr. Adam, jako poseł na sejm Konstytucyjny, pilnował razem ze śp. Skarbkim przedewszystkiem spraw swego skolatanego miasta i nieszczęśliwego kraju. Już na czwartem posiedzeniu Sejmu 24 lutego 1919 postawił nagły wniosek o odsiecz dla Lwowa. Wnioski takie powtarzano prawie co dwa tygodnie, zwołano nawet raz tajne posiedzenie Sejmu w tej sprawie. Gdy wojsko błękitne odpędziło Ukraińców, Dr. Adam przeprowadził w Sejmie uchwałę o nadzwyczajnym funduszu na odbudowę szkół T.S.L. zniszczonych przez Ukraińców — potem o fundusz na odbudowę wsi i miast — osobno zaś na odbudowę kościołów.

Odbudowa szła powolnie.

Zaczem w porozumieniu ze śp. Arcybiskupem Bilczewskim utworzył Komitet, który zaczął zbierać tz. „Daninę Oświatową“. Była to ofiara, zbierana w całej Polsce na odbudowanie placówek narodowych, jak szkoły, bursy, kościoły, domy ludowe i t. d. Odtąd T.S.L. trudni się nie tylko żywianiem i odbudową gmachów, przez siebie wzniesionych, ale także pomocą w odbudowie kościołów i rezydencji dla księży polskich. Praca oświatowa pod kierunkiem Dra. Adama objęła wszystkie kierunki oświaty, nie wyłączając religijnej. T.S.L. zajęło się również nader natężoną opieką nad kolo-

nistami, którzy w dosyć dużej liczbie osiedlili się na spustoszonych przez wojnę obszarach. Na nieszczęście nowe rządy zamykają polskie szkoły, wybudowane przez T.S.L., zmuszając kolonistów polskich do posyłania dzieci do odległych szkół ruskich lub utrakwistycznych.

Mając tyle ruin pracy Towarzystwa Szkoły Ludowej do odbudowania w trzech województwach, w których ta praca najwięcej dokonała, ale też za to i najdłuższemu uległa zniszczeniu, zwłaszcza ze strony rozwścieżonych ukraińców, Dr. Adam nie stracił z oczu całokształtu potrzeb narodowych. Był inicjatorem założenia polskiego gimnazjum w Gdańsku i objął skuteczną opiekę nad szkołami polskimi w Czechosłowacji. Z Macierzą Szkolną porozumiał się co do podziału pracą oświatową na Wołyniu, gdzie do niektórych powiatów łatwiej dostać się ze Lwowa niż z Warszawy. Przy jego czynnym udziale nastąpiło porozumienie między towarzystwami oświatowymi trzech zaborów i dzisiaj Towarzystwo Czytelni Ludowych z zaboru pruskiego, Macierz Szkolna z Kongresówki tudzież Towarzystwo Szkoły Ludowej z Galicji mają wspólny Wydział Wykonawczy, który swoją pracą obejmuje całą Polskę, oraz rodaków, żyjących poza krajem.

Praca ta idzie ciężko. Zajmowała się nią przed wojną inteligencja, żyjąca z pensji, to też po wojnie z powodu przerażającego zubożenia tej inteligencji zabrakło przede wszystkim środków pieniężnych na tę pracę. Zabrakło też i pracowników. Galicja Wschodnia posłała najlepsze swoje siły bo zaboru pruskiego na sędziów, nauczycieli i t. d., a miejsca opuszczone zajęli żydzi i Rusini, którzy pracują w swoich organizacjach. Rząd centralny nigdy nie znał i nie rozumiał potrzeb tego kraju, a przejęty myślą o wprowadzeniu systemu przeciwnego metodom „endeckim“ osłabiał przez doktrynerstwo samą polszczyznę oraz zaufanie do Polski. W razach wątpliwych pytano o radę różnych teoretyków od zielonego stolika ze starannem wyłączeniem ludzi, którzy ten kraj znają. Rozumie się więc, że Dr. Adam, który znał nie tylko duszę ludności tak polskiej, jak ruskiej i żydowskiej, ale nawet każde miasto i prawie każdą wieś a w nich tysiące ludzi wszystkich stanów, nie był nigdy wzywany do współpracy, pytany o zdanie w sprawach, choćby

oświatowych i gospodarczych, odnoszących się do tego kraju. Jego marka narodowo-demokratyczna, ogłoszona za równoznaczną z szowinizmem, który gnębi i chce wytepić inne narodowości, dyskwalifikowała go w oczach rządów, które podawały za swój cel porozumienie z Rusinami na zasadach odmiennych od „endeckich“. Nie dyskwalifikowała go w oczach samych Rusinów. Dowodem tego jest wystąpienie Rusinki, która zataiła swoje nazwisko, na pogrzebie Adama z mową, stwierdzającą jego życzliwość dla Rusinów, życzliwość odwzajemnianą przez Rusinów. Pani ta, wystąpiwszy niespodziewanie, zepsuła ułożony z góry ceremonjał pogrzebowy, ażeby złożyć świadectwo prawdzie i podziękować ceniom nieboszczyka w imieniu tych Rusinów, którzy doznali od niego pomocy i bratniego poparcia. To był głos ludu, głos tej drugiej narodowości, z którą doktrynerzy chcą się porozumieć wszystkimi sposobami z wyłączeniem sposobów endeckich, to znaczy sposobów, zalecanych przez ludzi, znających ten kraj i jego potrzeby.

Mamy na to i inne dowody. Kiedy po odzyskaniu Galicji socjalista śp. Antoni Zakrzewski przyjechał z Tarnopola do warszawskich towarzyszków, aby z nimi obmyślić sposoby postępowania, został przez nich odtrącony i zmuszony do wystąpienia z partji, ponieważ sposoby, polecane przez niego na podstawie znajomości kraju i ludzi, były sprzeczne z oderwaną doktryną teoretyków i przypominały sposoby zalecane przez „endeków“. To samo spotkało również żyda Dra. Loewenherza, który jako lwowianin, kochający swoje miasto rodzinne i znający całą wschodnio-południową część Polski, został w komisji dla mniejszości narodowych opuszczony przez swoich towarzyszków, ponieważ jego znajomość warunków miejscowych czyniła go podejrzanym o herrezję „endecką“.

Próbowano i próbuje się zorganizować kraj i znaleźć sposób współżycia z narodowościami, jakie go zamieszkują, zapomocą wszystkich doktryn z wyłączeniem znajomości kraju i ludzi oraz zastosowania metod do rzeczywistych warunków i potrzeb, określonych przez tę znajomość.

To też dorobek kościelny śp. Arcybiskupa Bilczewskiego, dorobek narodowy i kulturalny T.S.L. leży w gruzach. Ludność, pragnąca ładu i panowania prawa bez względu na

narodowość i wyznanie, jest wydana na pastwę karjerowiczów i samowoli stronnictw tak narodowościowych jak klasowych. Ideał polski został splugawiony przez tych, którzy w imię Polski, lub przeciw Polsce chcą wykonywać władzę. Jest to ruina nie tylko materialna, wywołana przez działania wojenne, ale i moralna, spowodowana przez zbrukanie i obłocenie ukochanego ideału. Śp. Arcybiskup Bilczewski umarł prawie ze zgryzoty — śp. Dr. Adam stał się smutnym i również niedługo cieszył się odzyskaną wolnością, która miała ciągle posmak gryzącej ironii i naigrawania ze wszystkiego, co w polszczyźnie szlachetne, wzniosłe i święte. Stał się milczącym i ponurym. Pracował dalej bez wytchnienia, ale i bez radości, wmawiając w siebie nadzieję wbrew nadziei i oczywistości. Pozostał wiernym sobie aż do śmierci, mimo że wiara w celowość i skuteczność tego wysiłku została w nim poderwana przez ohydny i głupi rzeczywistość.

W jego ostatnich poczynaniach można było widzieć coś nakształt szarpaniny wewnętrznej. Zubożony przez przesilenie finansowe kraju zakupił „Czytelnię Naukową“ dla sekcji wschodniej i spłacał za nią należność, odmawiając sobie zaspokojenia niezbędnych potrzeb. Opracował plan stworzenia wzorowego „Domu Oświatowego“ i prawie odejmując sobie od ust zbierał na niego fundusze. Mimo że widział, jak rząd zamykał polskie szkoły z takim trudem zbudowane przez ofiarność narodu, że inne szkoły, zbudowane przez T.S.L., obsadza siłami nie polskimi, że przy zmianie języka wykładowego nie szanuje warunków, hipotecznie na rzecz języka polskiego przez T.S.L. zastrzeżonych, które władze austriackie skrupulatnie szanowały, starał się mnożyć fundacje polskie, chociaż nieraz w głębi duszy pytał sam siebie, czy one kiedyś, kiedy ślepa doktryna zapanuje, nie będą placówkami dla zwalczania Polski i polszczyzny. A jednak nie ustawał, tylko był smutny i zamknięty w sobie. Trzeba znać pracę i przedwojenne owoce tej pracy i poświęcenia, ażeby zrozumieć okropną, naprawdę krwawą tragedję duszy takich zasłużonych mężów jak śp. Arcybiskup Bilczewski lub śp. senator Adam, kiedy patrzyli na ruinę tej pracy, dokonywaną za wiedzą i wolą osłepionych w doktrynerstwie lub zacietrzewieniu partyjnym czynników. Umarł dnia 22 listopada 1926 r.

W jego pogrzebie wzięli udział tylko ofiarni działacze oświatowi T. S. L. Brakowało przedstawicieli władz tej Polski, dla której poświęcił całe życie. Dygnitarze, dbający o karierę, nie pofatygowali się na oddanie ostatniej usługi temu, który całe życie, całego siebie oddał Polsce, a wzajemian niczego nie żądał dla siebie. Nie dziw też, że zasłużony ale bezinteresowny ten pracownik nie miał żadnego orderu, od zaborcy byłby go nie przyjął; szukające popleczników rządu nasze zapomniały o nim, bo jego praca nie dała jemu i nie ułatwiała nikomu kariery. Jedyne jego odznaczeniem był krzyż Obrony Lwowa, nadany przez wdzięcznych współobywateli. Jest to jedyny rodzaj odznaczenia, jakie otrzymywali tylko ci, którzy na nie zasłużyli.

VI

W tym krótkim zarysie widać naprzód długość, potem ogrom pracy. Długość obejmuje całe życie od lat szkolnych do śmierci. Ogrom obejmuje tak nieprzerwany wysiłek, tyle różnorodnych dziedzin i taką różnorodność, że samo zarejestrowanie musi zdumiewać. Owoce tej pracy widzieć można na przestrzeni od rumuńskich Czerniowiec do austriackiego Wiedna i do międzynarodowego Gdańska.

Mimo to można powiedzieć, że Dr. Adam nie należał do osobistości, uznawanych przez kierownicze polskie czynniki, a nawet do osobistości powszechnie znanych. Znali go fachowcy, działacze oświatowo-narodowi, tudzież fachowcy finansowi. Ogół mniej o nim wiedział, niż o pierwszym lepszym rozbijaczu wiecowym, albo o oszczercy dziennikarskim.

Pochodziło to z jego bezwzględnej aż do przesady bezinteresowności. Mniejsza o to, że na równi z bardzo wieloma działaczami pracował bez brania zwrotu wydatków, że do pracy, trudu i straconego czasu dopłacał z własnej kieszeni—ale ponadto starał się o to, ażeby za dorobek swej pracy uchylać się od uznania, podziękowań, wdzięczności, nawet wśród grona ofiarnych działaczy. Najchętniej urządzał sprawy tak, ażeby jego imię nie figurowało przy jakimś dorobku, zdobyczy, sukcesie. Wyniki swoich osobistych wysiłków podsuwał pod firmę zbiorową koła, sekcji, komisji, okręgu, Zarządu Głównego i był najbardziej zadowolony, jeśli jakaś jego zasługa osobista szła na rachunek bezimiennej zbiorowości. Odmawiał sobie jedynej satysfakcji, jaka bezsprzecznie należy się zasłudze, t. j. uznania tej zasługi przez innych. Był naprawdę cichym pracownikiem. Chodziło mu tylko o sprawę, o to, żeby rzecz była zrobiona — nigdy o to, aby przy tej rzeczy wyrastała jego sława. Używał nawet cnotliwych,

a chytrych wybiegów, ażeby zataić swoją osobę tam, gdzie albo większa część albo i cała zasługa należała się jemu.

Robił to z zimną miną sprawozdawcy, który wylicza dokonane prace zarządu, albo z dobrotliwym uśmiechem człowieka, który się cieszy, że jakieś większe dzieło udało się zbiorowości, „nam“. I czynił przez to współuczestnikami zasługi wszystkich, którzy należeli do stowarzyszenia lub słuchali jego sprawozdania. Każdy z nich, chociaż dopiero dowiedział się o zdobyczy, stawał się odrazu przez Adamowe przedstawienie rzeczy, współautorem sprawy, uczestnikiem zasługi. To pociągało, przywiązywało do towarzystwa. To ośmielało także. Niejeden z przypadkowych delegatów, wciągnięty na zjeździe w orbitę tych zainteresowań, wracał do siebie innym i zabierał się z odwagą do pracy na swoim terenie. Czasami wynajdywał nową metodę, albo nową formę działalności, a wtedy Adam podnosił ją na walnym zjeździe z uznaniem. I to uznanie, głoszące ambicję, było wielkiem bodźcem do czynu i do wytrwania. Chowając siebie w cień, z radością wysuwał innych, podnosił ich dorobek nie w górnolotny sposób, lecz w koleżeński, dobrotliwy, który pozwalał zrozumieć wielką wagę i niezaprzeczone uznanie, jakie Zarząd Główny żywi dla czynnego działacza.

Ta metoda niezaciemniania innych przez siebie utwierdzała w obranym kierunku dawnych pracowników, a zyskiwała nowych. Adamowi chodziło o to, żeby dokonana praca była pracą zbiorowości. Mnożył zasłużonych, usuwając siebie w cień, tak aby na początek wierzono, a potem, żeby stało się realnym faktem, że podniesienie oświatowe, gospodarcze i moralne ludności polskiej jest dziełem nie kilku, lub choćby kilkudziesięciu ofiarnych jednostek, ale całej inteligencji, całego narodu.

To też miał zaufanie wszystkich, a pomnażał je ciągle przez niebywałą takt i umiejętność kierowania ludźmi. Partijnicy wpisywali się do towarzystwa z zamiarem wyzyskania dorobku i zaufania ludności na rzecz swego stronnictwa. Na zjazdach i w łonie samego Zarządu Głównego ścierały się sprzeczne tendencje i wybuchały spory gwałtowne. Przez swoją dobroć, takt, znajomość ludzi umiał Adam tak pokierować obradami, że zawziętość folgowała, przyniesione zzewnątrz zamiary zacierały się i wszystko spływało do

koryta bezpartyjnej pracy oświatowej. Kilka razy groziło rozbicie, którego uniknięto wskutek jego taktowności i rozbijającego wpływu na ludzi. To też zaciekli partyjnicy opuszczali towarzystwo, a mniej zaciekli wchodzili w orbitę jego pracy i umieli swoje partyjne przywiązania i nienawiści zostawiać za progiem, a w łonie towarzystwa myśleć i pracować tylko kategorjami oświaty narodowej.

Przez swoją bezinteresowność, posuniętą do krycia się z własnymi zasługami okazał Adam swoją piękną duszę. To piękno objawiało się nietylko w tem, że z nadwyrężeniem zdrowia i z wielkimi ofiarami pieniężnymi pracował dla ideału narodowego, że unikał uznania, rozgłosu i chluby, bo mu chodziło o sprawę, o to, aby rzecz była zrobiona, ale i w tem, że z zaparciem się siebie zmierzał planowo do tego, aby to podźwignienie się narodu było istotnie wynikiem zbiorowego wysiłku narodowego. „Nic dla nas, wszystko dla sprawy“. Ten nastrój duszy był nastrojem całego Zarządu Głównego T.S.L. Prezes Bandrowski, członkowie: Adam, Aleksandrowiczówna, Januszewski, Natanson, Ciompa, Gertler, Ostrowski, Szczęsny i t. d. i t. d. wszyscy pracujący z nadwyrężeniem zdrowia, mówili ze spokojem, że Zarząd Główny jest poto, aby było kogo krytykować i atakować, nie po to, ażeby odbierać pochwały. I radowali się namiętnością oraz wybuchowością obrad Walnego Zjazdu, bo w gwałtowności krytyki i sporów widzieli umiłowanie sprawy, niecierpliwość w osiągnięciu jej celów, branie sobie zadań żywo do serca — jednym słowem życie, a więc żywotność towarzystwa.

Całe życie poświęcone dobrowolnej, a twardej służbie dla sprawy wyższej, poświęcone z wielkim skutkiem, to jest prawdziwa wielkość. W krótkim streszczeniu wygląda to pięknie, podniosłe, zachęcająco. W codziennej rzeczywistości, kiedy trzeba ciągle szukać pieniędzy i spotykać się z niechęcią, często z osobistą niegrzecznością, przelamywać uprzedzenia, uspakając waśni, przebierać między ludźmi często lichymi, traktować z odpychającymi przedstawicielami różnych władz, kłopotać się z przedsiębiorcami, jednym słowem użerać się z trudnościami i odmawiać sobie nawet polechtania miłości własnej, jak to czynił Adam, jest to naprawdę szary trud, zasypujący usta powszedniością jak piaskiem na pustyni.

Ażeby w takiej pracy nie ustać, nie znużyć się, nie zażądać wypoczynku, trzeba mieć wielki ideał i wielką duszę jego służbie poświęcić.

Adam miał wielką duszę. Za czasów starożytnych, które umiały cenić człowieka i miały zmysł wielkości, Adam byłby dostał pomnik i życiorys u Plutarcha, Neposa czy Swetoniusa. W wiekach średnich byłby się dostał do legend jako wzór bo nasładowania i rozważania. Gdybyśmy mieli zdolności do tworzenia świeckich świętych narodowych, powinieny tam znaleźć bardzo poczesne miejsce.

Żyjemy jednak w innych czasach. Adam nie zrobił błyskotliwej kariery i żadnemu nieużytkowi do kariery nie dopomógł. Umarł więc zapomniany przez wszystkie te czynniki, które kierują opinią publiczną dla osobistych lub grupowych interesów. Czasy dzisiejsze są tak znikczemniałe, ludzie tak spodleni i dobijający się używania, że czasami w tym cynizmie i rozpasaniu niechlujstwa rozpacz chwyta i zadaje pomiatanej resztki ludzi nieskazitelnych złośliwe pytanie: „To ma być Polska, a to ludzie, którzy ją potrafią utrzymać i podnieść?”.

A gdy taka wątpliwość przyjdzie, postać Adama wystarczy, aby ją spłoszyć. Nie jest nasze społeczeństwo tak do szpiku zgangrenowane, jakby się wydawało wedle orgii rozpanoszonego cynizmu, bezwstydu i nikczemności, skoro z jego łona wychodzą także takie ciche, dobre, piękne i wielkie postaci, wielkie nie na miarę hałasu, jaki się o nie czyni, nie na liczbę orderów, tytułów i godności, nie na obszar zdobytych przez wojnę majątków i bogactw, ale wielkie na wielkość ideału, ogrom pracy, miarę owoców bezinteresownego wysiłku, na moc poświęcenia w służbie ideału. Lwów wydał lub dał możność rozwinięcia lotu postaciom tak nieskazitelnym, zasłużonym i wielkim jak zmarli: Arcybiskup Bilczewski i senator Adam. Żyją tacy, którzy weszli w ich ślady. Nie trzeba rozpaczać, lecz trzeba wierzyć, że młodzież dostarczy znowu i w większej liczbie ludzi, zapatrzonych w te wzory, hodujących w sobie piękno duszy i umiejących wytrwać w bezinteresownej pracy dla ideału. Wszak ta młodzież jest odrosłą tego samego plemienia i tej samej ziemi, która wydała tamtych.



Niech z pod pióra przyjaciela i współpracownika idzie
to wspomnienie o cichym a wielkim działaczu i niech w du-
szach, spragnionych prawdy, dobra i piękna, budzi otuchę,
wiarę i odwagę opuszczenia błotnych ścieżek, a wstąpienia
jego śladem na świetlaną drogę trudu, czynu, zaparcia się
siebie i pracy nad odrodzeniem ducha, naprzód w sobie sa-
mym, potem w otoczeniu, wszak

nic nie zagrzebie

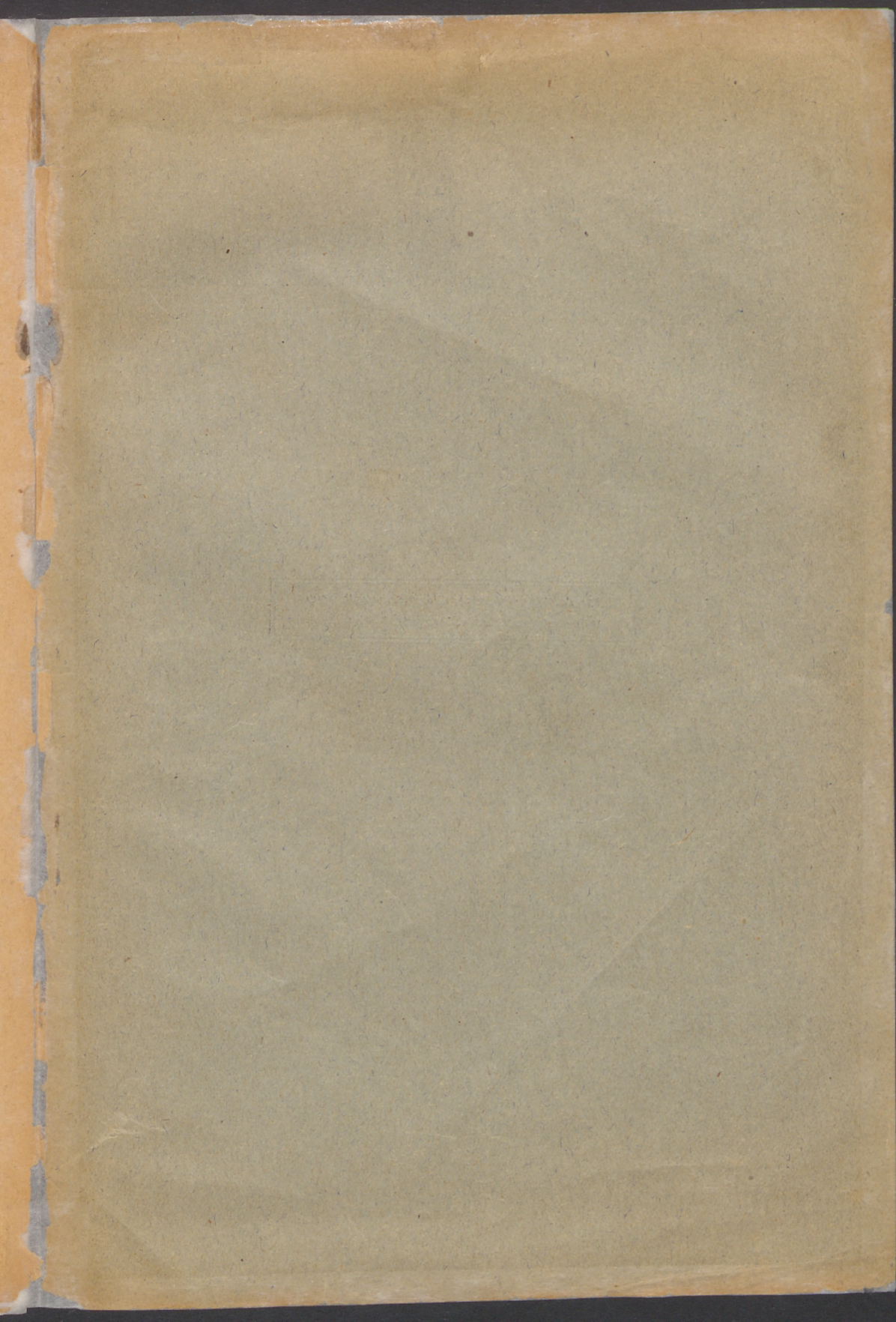
Ducha wolności, chyba on sam siebie,

Bo własne tylko upodlenie ducha

Ugina wolnych szyje do łańcucha.

W górę serca! Bo naród, który wydaje takie postaci, ma
w sobie zaród życia i odrodzenia przez własną, wytężoną pracę.





10, —

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

454567

Biblioteka Główna UMK



300050058295

Druk. Franciszka Orzechowskiego
Warszawa, Krak.-Przedmieście 38.